

YOUNG

558

mlodzi przyjaciele

CZASOPISMO POLSKIEJ Y. M. C. A.
„ENSEMBLE” REVUE MENSUELLE DE L'Y. M. C. A. POLONAISE

Rok 3.

Paryż : Czerwiec — Lipiec 1946

Nr 7-8 (32-33)

KYRIE ELEJSON!...

Życie:
ciągłe niemądre
lokowanie tęsknot
i buntów —
ciągłe szukanie siebie
i ciągłe szukanie Boga
poprzez swe własne mroki...

Życie
oparte zwycięsko
na kłamstwie i na podłości
a nie na jednym niebie
nie na miłości
nie na zrozumieniu —
małych chandr i spraw szerokich.

Przez marzenia i rozczarowania
przez radości i uśmiechy
i łzy —
idziemy nieumiejący kochania
i brudni w ludzkie grzechy
ze złudzenia
w złudzenie
i z buntu
w bunt:
tragiczne pokolenie
tragicznych naszych dni.

Jeśli siła — to krzywda
Jeśli dobroć — to pycha
Jeśli czyste — to wyśmiać
Jeśli jasne — to zbrudzić
Jeśli wielkie — to skarlić
Jeśli zbrodnia — to w imię miłości
a jeśli już miłość — to nieprawdziwa.

Litanio wynaturzonych wartości
wynaturzonych ludzi
co żyją już umarli,
i którym nie bądz miłościw —

Nieznający kochania
karmieni nienawiścią

już z piersi matek
w imię lepszych ojczyzn
w imię lepszych światów
grzęźniemy i depcemy
w pomroce wydarzeń:
wojna się nie kończy,
a pokój nie zaczyna.

W imię Ojca i Syna
czemu wciąż jesteś niemy?
Kyrie elejson.

Nikt nam nie powie: poco
nikt nam nie umie powiedzieć
na co, poco i czemu
jaki jest tego sens...

Wszędzie są źli sąsiedzi
wszyscy są źli sąsiedzi
Bóg chyłkiem uciekł nocą
a ludzie się szamocą
a czasy się szamocą
i gdzie jest tego kres?...
Kyrie elejson.

Idziemy —
gruzlicze dwóch wojen bękarty;
gazu, bomby atomowej,
kartkowego chleba
i kłamstwa propagandy
chore dzieci...

Każdy dzień — to ku szczęściu
serca naszego skowyt,
każdy dzień — to krok w miejscu,
każdy dzień — to grzęźniemy,
każdy dzień — to dalej od nieba.

Kyrie elejson.
Chryste elejson
Kyrie elejson — — —

Cz 31892/1946/7-8 ANDRZEJ CHCIUK

1604c/1946

BALZAC I PANI HAŃSKA

Na żyznych ziemiach ukraińskich, nie daleko od Berdyczowa rozciągały się dobra z wielkopańską siedzibą w Wierzchowni, które na początku XIX wieku należały do Wacława Hańskiego. Nie pierwszej już młodości Hański ożenił się w 1820 r. z 19-letnią Ewelina hrabianką Rzewuską.

Była to piękna brunetka o wymownych, podłużnych oczach. Cienka linia brwi wyraziście rysowała się na wysokim, nieco wypukłym czole, nos był prosty, dość ostro zakończony, usta wykrojone ponętnie i zmysłowe. Matową cerę, atlasową delikatną skórę i śliczną rączkę — w hymnach pochwalnych sławie będzie Balzac. Ale nie tylko w urodę wyposażona była p. Hańska; posiadała żywą inteligencję, pogłębioną przez wykształcenie i wzbogaconą przez wysoką kulturę. W żyłach p. Eweliny krążyła niespokojna krew Rzewuskich, żadna wrażeń, cechował ją romantyzm — który kojarzył się zresztą z trzeźwością umysłu. Pochodziła z rodu, w którym zainteresowania intelektualne i literackie, zamiłowania do nowości i zdolność do pióra są rzeczywiście wyjątkowe.

Pradziad p. Hańskiej, Wacław Rzewuski, patriota, który z biskupem Sołtykiem i Załuskim dzielił wygnanie w Kałudze, pisywał poezje, dramaty i dzieła polityczne i społeczne. Ojciec p. Eweliny, Adam Rzewuski — jest autorem licznych sztuk pisanych wierszem. Jej stryj, Wacław, zwany emirem, pozostawił opis podróży po wschodzie, a brat p. Hańskiej, Henryk Rzewuski, napisał bardzo popularną w Polsce powieść pod tytułem „Pamiętniki Soplicy“. Wspomnieć też należy Leona Rzewuskiego, syna emira, pisującego po polsku i po francusku i siostrzeńca p. Hańskiej, Stanisława Rzewuskiego, mieszkającego stale w Paryżu, autora francuskich sztuk teatralnych. Umarł on w 1913 roku.

Ze wszystkich osób, które stanowiły rodzinny krąg p. Hańskiej — najbardziej oryginalną, malowniczą i duchem romantyzmu owianą jest postać Wacława Rzewuskiego. Legendarny emir, którego Mickiewicz uwiecznił w swoim „Farysie“ — studiował w Wiedniu język turecki i arabski i dwa lata spędził w Syrii, żyjąc tam z przepychem wschodniego władcy. Otoczony liczną świtą przenosił się z Aleppo do Bagdadu, z Bagdadu do Palmiry — budząc podziw ludności bogactwem zbroi, koni i namiotów.

Powróciwszy ze Wschodu, Rzewuski na polskich kresach wiedzie życie koczownicze w otoczeniu odda-

nych sobie Kozaków, z którymi przyłączył się do powstania 1831 roku. W bitwie pod Daszowem Wacław Rzewuski zginął, czy zaginął — bo nigdy już więcej o nim nie słyszano. W braku realnych danych powstaną legendy.

Wśród takich rozlicznych, krzyżujących się wpływów, w atmosferze kosmopolitycznej kultury wzrosła i żyła p. Hańska. Jakkolwiek musiała rodzinie i domowi sporo czasu poświęcać, miała bowiem pięcioro dzieci, z których pozostała jej jedna córka, Anna — lektura i romantyczne marzenie zajmowały niepoślednie miejsce w jej życiu.

Znała doskonale literaturę francuską i zaznajamiała się ze wszystkimi ostatnimi nowościami — to też pierwsze książki Balzaca wkrótce po ich ukazaniu znalazły się w jej rękach. Były to: *Le dernier Chouan*, *Peau de chagrin* i t. d.

Powieści te oczarowały p. Hańską, zdawało się jej, że jakiś nowy odsłania się przed nią świat, gdzie ludzie silniej czują i barwniej żyją, gdzie prawda i marzenie splatają się w ponętne obrazy.

Olśniona nimi p. Hańska pisze entuzjastyczny list do nieznanego młodego pisarza, dzieląc się swoimi wrażeniami i jakby zażenowana śmiałością swego postępu podpisuje się tylko: *Cudzoziemka* (*Etrangère*), adres swój i nazwisko podając paryskiemu wydawcy książek.

Czy choć na chwilę przypuszczała p. Hańska, że ten odruch zapału i ciekawości zaważy na szali jej losu? Czyż mogła przewidzieć, że list do Paryża wysłany stanie się zwrotnym punktem w jej życiu, że zapoczątkuje erę, która poprzez szczęście i ból, radości i zawody doprowadzi ją do trudnej do rozwiązania, tragicznej niemal sytuacji.

List p. Hańskiej pełen zachwyty, doskonałą francuszczyzną wyrażonych — Balzac otrzymał 28 lutego 1832 r. Liczył wtedy 33-ci rok życia.

Kilkanaście lat już upłynęło od chwili, kiedy jako 20-letni chłopiec, w lecie 1819 r. zamieszkał samodzielnie w Paryżu, w ubogiej dzielnicy, na 6-tym piętrze starej kamienicy i z wyzyna swego poddasza zuchwale rzucił światu rękawicę poprzysięgając, że zdobędzie sławę, miłość i majątek, — wszystko to do czego rwała się jego wybuchowa, dynamiczna natura, nieokiełzana wyobraźnia, idąca w parze z niezachwianą wiarą w siebie i nieznanym granic optymizmem.

Urodzony w Tours w 1799 r., syn państwowego urzędnika, który sam pochodził z chłopskiej rodziny po kończeniu studiów odrzucił proponowaną mu przez ojca karierę i wygodne z czasem stanowiska reagenta i dzięki wyznaczonej skromniutkiej pensji zamieszkał w Paryżu, poświęcając się literaturze.

Początki literackie okazały się wyjątkowo trudne; pierwsze powieści Balzaca nie zwróciły uwagi ani krytyki ani publiczności — wszystkie wysiłki autora szły na marne. Za to w innej dziedzinie był szczęśliwszy — uśmiechnęła się do niego miłość — właśnie taka, jaka najbardziej była mu potrzebna — gorąca i ofiarna, pełna oddania i troski o jego szczęście i rozwój intelektualny i duchowy.

Kiedy kobieta na prawdę głęboko kocha — miłość jej ma w sobie coś macierzyńskiego — ale jakże ten element macierzyński potęguje się w uczuciu kobiety starszej i mającej takie wysokie przymioty, jakie posiadała p. Laura de Berny. O wiele później myśląc o swoim pierwszym uczuciu Balzac napisał w jednej ze swoich powieści: „Tylko ostatnia miłość kobiety może w pełni zadowolić pierwszą miłość mężczyzny“.

Niewątpliwie p. de Berny wniosła do tego stosunku nieprzebrane skarby uczucia, urok kultury i dobrego smaku — nie mogła tylko wnieść czaru młodości — i chociaż Balzac napisze kiedyś: „Piękność świeża, rumiana, gładka jest pospolitym wdziękiem, który pociąga tylko przeciętność“ — jednakże na tę jego pierwszą miłość padł jakby cień melancholii.

Na wstępie do samodzielnego życia Balzac poprzysiągł sobie, że zdobędzie majątek a przekonawszy się, że literatura nie dawała dobrych wyników, z właściwym sobie impetem i optymizmem przerzucił się do interesów. Nie miał szczęścia jako pisarz, uwierzył, że powiedzie mu się jako wydawcy. Za pożyczone pieniądze wydaje arcydzieła literatury francuskiej, komedie Moliera, bajki la Fontaine'a i t. d. w tanim wydaniu. Po sześciu miesiącach wydawnictwo przynosi mu poważne długi. Niezrażony tym niepowodzeniem Balzac decyduje się za pożyczone znów pieniądze nabyć drukarnię, chcąc zmniejszyć koszty wydawnictwa. Rok próby na tym polu kończy się bankructwem. Dzieje się to w roku 1828. Balzac ma lat 29. Jakże jest daleko od młodzieńczych marzeń z przed dziesięciu laty.

Ale każde niepowodzenie może mieć w sobie ukrytą dobrą stronę, trzeba tylko umieć ją znaleźć. Niepowodzenia finansowe Balzaca miały tą dobrą stronę, że wskazywały mu właściwą drogę — powrócił do literatury. Drukował w swoim czasie pamiętniki o powstaniu w Bretanii, które miało na celu przywrócenie monarchii we Francji. Na tym tle pisze powieść: „Ostatni szuan“ (Le dernier Chouan).

W tej książce zaznaczają się już wszystkie właściwości talentu Balzaca: prawdą i życiem tryskający ludzie, bogactwo i kontrasty typów, dokładność i barwność opisów, w których martwe przedmioty na swój sposób żyją. Powieść zdobyła sobie natychmiast powodzenie — jest to pierwszy krok na drodze do sławy.

Od 1831 r. sława Balzaca rośnie, powieści jego są rozchwytywane, otwierają się przed nim podwoje najwykwintniejszych salonów paryskich, płyną zaproszenia na dyplomatyczne i literackie obiady, na premiery do teatrów. Wielkie damy rządzą dla niego przyjęcia, piszą wymowne bileciki.

Balzac jest w swoim żywiole, ma wspaniałe urządzone mieszkanie, własne konie i powozy, wydaje prozowane obiady przoduje w modzie i naturalnie zadłuża się po uszy, przekonany, że tym razem stoi u progu Fortuny. Odwiedza też czasami p. de Berny, mieszkającą na prowincji, koresponduje z p. Hańską, ową daleką, intrygującą Cudzoziemką, a jednocześnie pracuje nad nowymi dziełami, obmyśla wiele innych.

Pierwszy okres romantycznej korespondencji pomiędzy p. Hańską a Balzac'iem trwa od lutego 1832 r. do wiosny 1833, do chwili ich spotkania w Neuchâtel, w Szwajcarii. Korespondencja ta jest pełna obopólnych zachwyty i wynurzeń; wymiana myśli w dziedzinie literackiej doprowadza Honorego i Ewelinę do przekonania, że są dla siebie stworzeni — a na tle tego porozumienia dusz powstaje uczucie, które czeka tylko osobistego ich spotkania, żeby się zamienić w miłość.

Kimże był ów Balzac, o którym w zacisznej Wierchowni marzyła p. Hańska? Jakim był jako człowiek i jako pisarz?

Gdyby szukać dla Balzaca porównania, należałoby przyrównać go do wulkanu, wiecznie buchającego płomieniami i kipiącego lawą. Człowiek niezwykły, złożony z samych kontrastów — zarówno pod względem zewnętrznym — jak w życiu i twórczości.

Pod względem zewnętrznym Balzac przedstawiał dziwne połączenie pospolitości i uroku. Był mały, gruby, miał czarne, zwichrzone włosy, twarz pełną i czerwoną, rysy pospolite i bardzo ruchliwe — ale uszlachetnione szerokim, białym czołem, opromienione prześlicznymi oczami.

Wielki poeta Lamartine kreśląc portret Balzaca tak pisze: „Był on gruby, krępy, szeroki w plecach — ale nie ciężki — było w nim tyle duszy, że ona niosła ciało lekko i wesoło — jak naturalną powłokę, a nie jak ciężar“. Lamartine dodaje: „Balzac nie był wysoki, ale blask jaki bił z twarzy i ruchliwość postaci czyniły, że nie dostrzegało się małego wzro-

stu. „Cechą charakterystyczną Balzaca — to brak równowagi, brak umiaru. Nie znał on miary ani w pracy, ani w życiu. Jeżeli przy jego fenomenalnej fizycznej odporności umarł w 51-ym roku życia, to dlatego, że się zabił pracą i zatrzał kawą. Zdolność do pracy miał wprost wyjątkową, pisał całymi nocami, wypijając po 20 filiżanek mocnej czarnej kawy i pochłaniając kilogramy owoców. Wydawca jego tak pisze: „Balzac zamykał się w swoim mieszkaniu na sześć tygodni lub dwa miesiące i przy zamkniętych okiennicach i zapuszczonych firankach pracował czasem po 18 godzin na dobę, przy świetle czterech świec, ubrany w szlafrok przypominający dominikański habit“.

Brak umiaru cechuje Balzaca w życiu praktycznym: jego lekkomyślność i rozrzutność, potrzeba zbytku są zatrważające. Każda perspektywa zarobku poprzedzona jest olbrzymimi wydatkami, które pochłaniają zysk i często powiększają długi. Ten brak równowagi pomiędzy upodobaniami Balzaca i jego środkami zaciąży tragicznie na całym życiu. Kłopoty materialne zatrują mu egzystencję, w rozpaczliwej walce z długami Balzac stanie się niewolnikiem, jak galernik pracując bez wytchnienia i pisząc w gorączkowym pośpiechu.

Tak powstanie olbrzymie dzieło, nazwane przez niego „Komedia ludzka“, a która składa się z powieści przedstawiających życie na prowincji i w Paryżu, życie sfer politycznych, wojskowych, kupieckich, dziennikarskich, dając rozległy obraz społeczeństwa francuskiego w pierwszej połowie XIX-go wieku.

Takiego to mocarza pióra miała po raz pierwszy spotkać p. Hańska. Puszczając się w podróż za granicę z mężem i córeczką, na wiosnę 1832 r. naznaczyła spotkanie w Neuchatel. Wyruszył więc Balzac z Paryża, cztery dni spędził w dyliżansie, cztery noce bezsenne ze wzruszenia i pod wieczór stanął w szwajcarskim miasteczku.

Zmęczony podróżą, dopiero następnego dnia udał się do hotelu, gdzie zatrzymali się Hańscy. Nie zastał ich w domu — poszedł więc szukać ich po mieście, przekonany, że p. Ewelinę pozna nawet w tłumie ludzi. Nad brzegiem jeziora spostrzegł prześliczną młodą kobietę, która wydała mu się jeszcze piękniejsza niż ta, której odbicie nosił w wyobraźni — stanął patrząc na nią zachwyconymi oczami. Pani Hańska zobaczyła nieznanego, młodego mężczyznę, który z uwielbieniem wpatrywał się w nią i ze wzruszenia upuściła trzymaną w ręce książkę. Balzac pochylił się, żeby ją podnieść — była to jego powieść! Wyciągnęli do siebie ręce...

Kilka dni spędził Balzac z p. Eweliną (mąż robiący wycieczki w góry nie bardzo im przeszkadzał)

w promiennej atmosferze radości i zachwyty; spędzili je na rozmowach i spacerach, a kiedy Honory wyjeżdżał, uwoził z sobą jej wyznania i przysięgę, że ich nierozzerwalny związek serc zamieni się z czasem w całkowitą przynależność do siebie. Istotnie, na samym początku następnego roku, 24 stycznia 1834 r. spotykają się w Genewie.

Szwajcaria była w owym czasie uprzywilejowanym miejscem pobytu pisarzy, chroniących się przed surowością władz lub artystów i poetów szukających natchnienia.

Dwa tygodnie — dwa tygodnie najszcześniejsze w ich życiu — (pomimo obecności p. Hańskiego) spędzili razem Balzac i p. Ewelina. Dwa tygodnie wydatnie poprzedniej rzeczywistości; dla niego była to ucieczka od wyczerpującej pracy, dla niej od zamożnej, wygodnej jednostajności w Wierzchowni.

Te dwa tygodnie odbijają się echem w ich późniejszej korespondencji, gorącej i namiętnej; wspomnienia unoszą się będą nad nimi w przeciągu wielu miesięcy. A jednak — już na genewskim niebie ukazały się pierwsze chmury — w dłuższym obcowaniu pojawiły się pierwsze zgrzyty, wywołane zazdrością p. Hańskiej o p. de Berny (choć ten stosunek należał już do przeszłości, zamieniony na serdeczną przyjaźń) i o inne wielbicielki Balzaca. Pojawiły się też drobne nieporozumienia wynikające z różnicy usposobień i wychowania.

Wśród kobiet, które przeszły przez życie Balzaca — p. Hańska zajmuje odrębne, wyjątkowe stanowisko. Od spotkania w Genewie — pomimo, że była zamężną i mieszkała prawie na krańcach Europy (osiem dni drogi dzieliło Wierzchownię od Paryża) — ma powagę i godność przyszłej jego żony. Żadna z kobiet darzących Balzaca swymi względami nie miała tego zespołu kwalifikacji jakie skupiała p. Hańska. Jej uroda zapaliła w nim miłość, jej urodzenie, stanowisko społeczne i majątek pochlebiali jego ambicji i próżności; jej umysł, wykształcenie i kultura budziły podziw i zaufanie. Balzac liczy się z jej sądem, w listach zasięga jej rad, dzieli się z myślami, zwierza ze swoich projektów literackich, — jak żonie opowiada o swoich troskach i kłopotach pieniężnych i wtajemnicza w codzienne życie. Chociaż korespondencja ich przechodzić będzie różne fazy, o zmiennej temperaturze uczuciowej — zadzierzgnięty w Genewie węzeł zwycięsko przetrwa lata.

W 1835 r. korespondencja ma charakter bardzo burzliwy, p. Hańska dowiaduje się o nieplatonicznej znajomości Balzaca z hrabiną Guidoboni-Visconti i tak silny daje wyraz swojej goryczy w listach, że zaniepokojony Balzac w maju 1835 r. za pożyczone pieniądze pośpiesza do Wiednia, gdzie Hańscy bawili, żeby zaspokoić i rozbroić zazdrość p. Eweliny.

Przy końcu tego roku korespondencja staje się mniej ożywiona, ton chłodniejszy — p. Hańska chce za nadto rządzić wielkim pisarzem, z daleka organizować jego życie — od tych nieco despotycznych wpływów Balzaca się uchyli.

Następne lata jego życia do 1841 r. są okresem wielkiej twórczości (wspomnijmy takie arcydzieła jak: „Le père Goriot“, „Eugénie Grandet“, „La cousine Bette“), zapadania na zdrowiu, nadwyrężonego nadludzką pracą, i — jak zawsze — kłopotów materialnych. Z panią Hańską ogranicza się do korespondencji czysto obiektywnej i towarzyskiej; przecież tyle już lat upłynęło od ich krótkich spotkań, najpierw w Neuchatel, a potem w Genewie i w Wiedniu.

Ale rok 1841 przynosi wielką zmianę w życiu p. Hańskiej — zostaje wdową. Świadomość, że jego „Ewa“ jest wolna, wraz z nadzieją zapala na nowo miłość w sercu Balzaca, zaczyna pisać do niej przepiękne i gorące listy, ale spotyka się z pewną rezerwą ze strony p. Hańskiej.

Po ośmiu latach niewidzenia następuje nowe spotkanie w 1843 r., dla którego Balzac musi jechać aż do Petersburga. Zastał p. Hańską równie piękną i zadziwiająco młodą. Ze smutkiem natomiast patrzyła p. Ewelina na Balzaca, na jego otyłą chorobliwie postać, wypieki na twarzy i siwiejącą czuprynę, chociaż miał dopiero 44 lata. Oczy tylko były młode i zapał — jak zawsze — młodzieńczy. Z tym zapałem błagał i zaklinał Balzac p. Hańską, żeby się pobrali, ale po raz pierwszy nie uległa jego czarowi. Po trzech miesiącach pobytu wyjechał z niczym.

Dziwnie układa się ich stosunek: Balzac przepracowany, goniący resztkami zdrowia starać się będzie o rękę p. Hańskiej i składać jej wizyty, dla których musi przebywać tysiące kilometrów po ówczesnych prymitywnych drogach. W roku 1845 pogonił za nią do Drezna, w 1846 do Rzymu, a nawet robi jeszcze większy wysiłek — wyruszył na Ukrainę i po ośmiu dniach podróży, upadając ze znużenia, stanął w Wierchowni.

Pobyt u p. Hańskiej wydał mu się rajem, czarownym snem, z którego zbudziły go wieści wzywające do Paryża dla zapobieżenia nadużyciom wydawców, którzy chcieli dzieło jego sobie przywłaszczyć. Po załatwieniu najpilniejszych spraw Balzac w jesieni 1849 r. powraca znów do Wierchowni. Ale wyczerpany jego organizm nie znosi mrozów, i białą zimę ukraińską Balzac spędza przy płonącym kominku, drżąc z zimna, lub dysząc od gorączki. Śmierć powoli kładła na nim rękę. Nie widział jej i namiętnie z uporem błagał p. Hańską, żeby przystała na ich ślub. Tym razem zgodziła się i rozpoczęła w tym celu pierwsze kroki. Przede wszystkim potrzebne było

pozwolenie cesarza rosyjskiego, dla uzyskania którego musiała p. Hańska zrzec się swego majątku na rzecz córki.

Na formalnościach upłynęły wiosna, lato, jesień; nastąpiła zima, a z nią dziwne przeskoki w zdrowiu Balzaca. Raz dusił się, umierał — to znów ożywał, a gdy noc nastawała — tak jak dawniej przy biurku — puszczał wodze swojej wyobraźni — ale już nie powieści, lecz własne ich życie i przyszłość w tęczy barwy ubierał. Tak upłynęły zimowe miesiące.

Nakoniec ślub został naznaczony na 15 marca. Po wyboistych, grząskich, zalanych marcowymi roztopami drogach ciężko toczył się powóz wiozący p. Hańską i Balzaca na ślub do Karmelitańskiego kościoła w Berdyczowie. — Wielki pisarz wsparty na ramieniu Tomasza, starego służącego Hańskich — wszedł do kaplicy. Kiedy wychodził promieniał ze szczęścia.

Od tej chwili jego marzeniem jest powrócić do Paryża; zdawało mu się, że klimat Francji, atmosfera stolicy przywróci mu zdrowie. W maju opuścili Wierchownię. Tragiczna to była podróż poślubna... On jechał po to, żeby umrzeć na swojej ziemi — ona mu towarzyszyła jako infirmierka. 20 maja, w cichy ciepły wieczór stanęli w Paryżu i zatrzymali się przed willą, którą Balzac wynajął i urządził. I tu na wstępie przywitał ich dziwny, złowroźny znak. Dom był zamknięty, musieli posłać po ślusarza. Kiedy weszli zastali służącego Balzaca, który patrzył na nich błędnymi oczami, szepcząc bezładne słowa. Czekał na swego pana, dostał nagle pomieszania zmysłów.

Następne trzy miesiące są powolnym konaniem Balzaca. 18 sierpnia Balzac zapytał lekarza, czy mu jeszcze tydzień życia pozostało i, podnosząc się nieco zawołał: „Tydzień czasu z gorączką wystarczy mi na napisanie powieści!“ To były jego ostatnie słowa. Upadł na poduszki, rozpoczęła się agonía. Było to 18 sierpnia 1850 r.

Po śmierci męża p. Ewelina pozostała w Paryżu, doszła do chorobliwej tuszy i umarła w 1882 r. mając lat 81.

Kiedy myślą cofała się wstecz, do wspomnień z przed 50 laty — czy żałowała owego listu wysłanego do Paryża, który wplątał jej życie w burzliwą egzystencję Balzaca? A może patrząc z oddalenia na przeszłość — mimo wszystko — wdzięczna mu była za jego miłość i za ten dar nieśmiertelności, jaki jej złożył. Bo przecież nie mogła nie wiedzieć, że imię jej — polskiej kresowej ziemianki — sława Balzaca rozniesie po całym świecie i uwieczni w dziejach literatury francuskiej.

STANISŁAWA HULANICKA

WIERSZE PARYSKIE

J. Iwaszkiewicza

POŻEGNANIE PARYŻA

W niebieskim świecie
Biegna ulice
Błyszcząca wstęgą w górę idą
Rzucają załamaniem rąk
Łuki i dzidy.

Olbrzymia linia ponad głową
Uderza w tarczę wielkiej bramy
Jak głos o świecie
Wołający.

Oczy wież patrzą
Moim śladem,
I mosty skaczą
Wpław,
Na obeliski u zamarłej fontanny.

O Boże — zbaw!
Na czarnym szczycie krągłej kolumny
Cesarz zamarłą zwraca twarz
Ku mgłom,
Ku niebieskiemu światu.

Jak na afiszu wszystko razem
Razem ze światem —
Płacze się w liniach na sinym tle
Taxi, allez plus vite —

Przed nami nieba różowieje szczyt —
I srebrny ptak do lotu rozwarł skrzydła,
I sruby zgrzyt —
Adieu, adieu Paris.

OPERA

Schody gigantów jak w Wenecji
Mantyle dam, motyle oczu,
I złoto kapie, mokre złoto
Ciemne
Jak z krwią.

Podniebne słupy foyer,
I mały gubi się w nich człowiek,
Ach, nie zamykaj tylko powiek
Bo ujrzyś nagle
Jak ci źle.

Paszczka orkiestry smyczkiem wyje
I flet kołuje niby ptak
Basetle wykręcają szyję
Tympany warczą
Jak psy —

Zamykam jednak oczy zmęczone
I widzę dom —
Warszawy gruzy, róży pąk
I stopy cegieł czerwonawe
Niby uciętych stopy rąk.

Szwajcarska demokracja

Szwajcarska demokracja jest tworem, wyrosłym organicznie z bardzo złożonego, setki lat trwającego rozwoju historycznego. Wykazuje ona, wzięta nie tylko jako całość, lecz także w poszczególnych swych przejawach, wielką ilość tego rodzaju właściwości, jakich nie znajdziemy w żadnej innej demokracji świata. Jeśliby cudzoziemiec, bystry obserwator, pragnął poznać osobliwego ducha, jakim jest owiana demokracja szwajcarska, musiałby spędzić przynajmniej kilkanaście lat w bezpośredniej łączności z ludem szwajcarskim. Większość cudzoziemców popelnia ten błąd, że odniesione w Szwajcarii wrażenia zbyt skwapliwie uogólnia i wyrabia sobie przedwczesne sądy o państwie i społeczeństwie.

Podstawową komórką szwajcarskiej demokracji jest przede wszystkim gmina. W niej otrzymuje obywatel szwajcarski podstawy swego wychowania obywatelskiego i państwowego. Bierze on udział nie tylko w wyborach, lecz bezpośrednio rozstrzyga o lokalnych zagadnieniach natury politycznej i administracyjnej. Jeśli na przykład miasto Zurych zamierza powiększyć gazownię, lub wybudować nowy gmach szkolny, albo szpital, wówczas posyła do domu każdemu obywatelowi projekt tej budowli wraz z kosztorysem. Sprawa ta następnie jest omawiana w artykułach prasowych i na zebraniach, po czym dopiero obywatele idą do urny z kartką do głosowania i rozstrzygają o przyznaniu kredytu. W ten sposób każdy obywatel poczuwa się do odpowie-

działności za rozwój swojej gminy. Wie on także o tym, że zarząd gminy powinien się go zapytać o zdanie w każdej ważniejszej sprawie z zakresu gospodarki samorządowej. Obserwuje on bacznie działalność władz. Jeśli wszystko jest w porządku, milczy; nie ma zwyczaju szafowania pochwałami. Jeśli mu się coś nie podoba, krytykuje to otwarcie. Wyrażanie swego niezadowolenia z powodu pomyłek władz jest nienaruszalnym prawem obywatela, a „psioczenie“ w tym znaczeniu uchodzi prawie za narodową cnotę szwajcarską.

Czynny udział obywateli w życiu gminy jest doskonałą szkołą wychowania politycznego. Gmina jest mała, sprawy jej może objąć stosunkowo łatwo nawet prosty człowiek. Obywatele znają osobiście ludzi piastujących publiczne stanowiska. Rząd związkowy nie ma prawa mianowania lub odwoływania (w drodze awansu lub kary) urzędników administracji kantonowej lub gminnej ponieważ urzędników tych wybierają obywatele. Stosunek zatem obywatela do organów administracyjnych, które on sam wybiera, jest na skutek tego bezpośredni i ludzki. Obywatele biorą czynny udział w funkcjach demokratycznej wspólnoty, a uzyskane doświadczenia i zapatrywania przenoszą oni na większe twory polityczne, jak kanton i związek. Dlatego też demokracja nie jest dla ludu szwajcarskiego jakaś bezkrwista, martwą abstrakcją.

Trzeba sobie również jasno zdać sprawę z tego, że żadna demokracja świata nie przyznaje obywatelom swoim tak obszernych praw politycznych co Szwajcaria. Obywatel czuje się tu nie tylko przedmiotem, lecz w pierwszym rzędzie podmiotem władzy państwowej, czyli jest nie tylko rządzonym, lecz także sam bierze udział w rządzeniu. Współdziałanie obywateli we władzy państwowej nie ogranicza się tylko do czynnego i biernego prawa wyborczego, jak to się dzieje w przodujących demokracjach. Należy przy tym zauważyć, że szwajcarskie prawo wyborcze przyznaje obywatelom znacznie więcej uprawnień, niż gdzie indziej. Obywatel szwajcarski może dokonywać własnoręcznie zmian na wydrukowanych listach wyborczych, może kosztem jednego kandydata podwajać liczbę głosów innego, może łączyć na liście różnych kandydatów to jest dobierać sobie ich nazwiska z innych list partyjnych i umieszczać je na własnej liście. Charakterystycznym dla demokracji szwajcarskiej jest fakt, że w niektórych wypadkach uchwały parlamentu muszą być zatwierdzone przez powszechne głosowanie (tak zwane referendum). Odbywa się to obowiązkowo, albo też na wyraźne żądanie odpowiedniej ilości uprawionych do głosowania. Naród zatem stoi nad parlamentem i posiada wobec uchwał parlamentu prawo sprzeciwu (veta). Poza tym obywatele są uprawnieni do występowania z wnioskami ustaw z pominięciem organów ustawodawczych i wykonawczych. O uchwaleniu tych wni-

sków rozstrzyga powszechne głosowanie. Jest to tak zwane prawo inicjatywy. Przed każdym głosowaniem rozwija się ożywiona propaganda. Wpływ jej na obywateli szwajcarskich ma swoje wyraźne granice. Zdarza się czasem, że suwerenni obywatele odrzucają z całą stanowczością wnioski zalecane do przyjęcia przez rząd i parlament oraz wszystkie partie.

Z głębokiego poczucia zwierzchnictwa narodu wynika i ten fakt, że w Szwajcarii nawet najwyżsi dostojnicy państwowi nie otrzymują zewnętrznych symboli swej władzy. Prezydent Szwajcarii nie posiada żadnej reprezentacyjnej siedziby, radcy związkowi (ministrowie), radcy kantonalni (ministrowie w rządach kantonalnych) mieszkają w domach prywatnych lub wynajętych mieszkaniach, podobnie jak wszyscy inni obywatele. Prezydent Szwajcarii udaje się do swego biura pieszo lub jedzie tramwajem. Ta prosta forma zewnętrznych jest w Szwajcarii sama przez się zrozumiała, a uderza tylko cudzoziemców.

Publiczne życie Szwajcarii jest pozbawione wszelkich elementów pochodzenia arystokratycznego lub dworskiego. Nie ma tu żadnych różnic stanowych, płynących z urodzenia, nie ma też żadnych zwyczajów i urzędzeń, które by te odrębności podkreślały. Nie ma też w Szwajcarii zbyt jaskrawej różnicy między ubogimi a bogatymi. Rozpiętość stopy życiowej jest tu znacznie mniejsza niż w innych krajach. Poza tym zamożni nie starają się imponować w sposób widoczny swoim dostatkami; jaskrawe wyróżnianie się pod tym względem potępia się jako sprzeczne z obyczajowością szwajcarską. Rozwój historyczny życia gospodarczego Szwajcarii tak się szczęśliwie ułożył, że oszczędził jej skrajnego ubóstwa.

Związek szwajcarski wzrósł ze szczęśliwego współdziałania zwyczajnych dążeń wolnościowych miast o zdobycie własnego samorządu. Jako zespół różnych elementów potrafił Związek szwajcarski zdobyć sobie niepodległość, rozszerzyć się i utrzymać. Ażeby się obronić przed zewnętrznymi nieprzyjaciółmi, trzeba było ograniczyć do minimum rozpiętość wewnętrznych różnic. Aby nie narażać na niebezpieczeństwo całości Związku, trzeba było unikać sporów między jego członkami. W ten sposób możemy sobie wyjaśnić podstawowe rysy charakteru szwajcarskiego. Szwajcar lubi rozwiązywać zagadnienia wewnętrznej polityki na drodze starannie rozważonego kompromisu, który się przygotowuje po największej części w komisjach, składających się z członków o różnych poglądach politycznych. Z reguły poszukuje się wyjścia praktycznego i pożytecznego, które by pozwoliło na zgodne współżycie różnych grup obywateli. Przeciwności wyrównuje się wspólnie przy pomocy uzgodnienia poglądów, przy czym każda strona musi zrezygnować z pełnego przeprowadzenia swego punktu widzenia. Dlatego też w kulturze umysłowej Szwajcarii nie

spotykamy samodzielnych rozwiązań zagadnień filozoficznych. Równouprawnienie rozmaitych wyznań jest samo przez się zrozumiałe. Jeśli w jakiejś wsi jest tylko jeden kościół, jest on kolejno wykorzystywany w razie potrzeby tak przez katolików jak i protestantów. Równouprawnione są również różne grupy językowe. Nikt się tym nie gorszył, że Tessyńczyk, radca związkowy Motta, należący do małej grupy narodowościowej, przez dwadzieścia lat kierował zagraniczną polityką Związku. Szwajcaria nie tylko nie zna ucisku mniejszych grup narodowych, lecz okazuje im szczególniejsze względy, aby nawet myśl nie powstała, że mogą być krzywdzone. Tak na przykład kanton Tessyński, mimo niewielkiej liczby mieszkańców, prawie zawsze ma swego przedstawiciela w rządzie związkowym, podczas gdy z drugiej strony trzy kantony (Uri, Schwyz i Unterwalden) o ludności mówiącej po niemiecku, które założyły Związek, jeszcze nigdy nie miały miejsca w rządzie centralnym i fakt ten przyjmują z zupełnym spokojem. Dobre stosunki pomiędzy różnymi grupami językowymi zawdzięcza się tej szczęśliwej okoliczności, że granice językowe nie pokrywają się ani z granicami obszarów wyznaniowych ani społecznych; skutkiem tego do różnic językowych nie dołączają się jeszcze inne czynniki, które mogłyby pro-

wadzić do napięć i zdrażeń. Nie bez znaczenia jest także fakt, że wszystkie języki szwajcarskie, z wyjątkiem retormańskiego mają znaczenie europejskie i znajdują odpowiednik w jednej z wielkich kultur, skutkiem czego trzem głównym częściom składowym ludności nie można odmówić równowartości kulturalnej.

Polityka neutralności Szwajcarii wypływa z różnolitego składu ludu szwajcarskiego. W czasie na przykład wojny trzydziestoletniej kantony zrezygnowały z walki po stronie mocarstw, ponieważ tak katolicy jak i protestanci członkowie Związku nigdyby się nie zgodzili stanąć po stronie jednego i tego samego państwa. Gdyby się protestanckie kantony połączyły ze Szwecją i Francją, wówczas katolicy stanęliby po stronie Habsburgów. Tylko obustronne wstrzymanie się od udziału w wojnie pozwoliło Szwajcarii uniknąć rozpadnięcia się. Neutralność Szwajcarii, otoczonej mocarstwami, jest koniecznym warunkiem jej istnienia. Aby nie narażać na niebezpieczeństwo neutralności, a co za tym idzie i niepodległości swej ojczyzny, zgadza się obywatel szwajcarski w czasach przełomowych i wojennych na ograniczenie nawet bolesne konstytucyjnie zagwarantowanych swobód demokratycznych.

V. Giffterman

„WARSZAWA OSKARŻA”

O wystawie „Warszawa oskarża“ slyszełiśmy duzo z prasy krajowej, zanim mieliśmy sposobność zobaczyć ją w Paryżu.

Przed kilku tygodniami na murach ukazały się afisze „Varsovie accuse“. Afisz mocny i pełen wyrazu robił duże wrażenie. Na tle ciepłego brązu — sylwetka kobiety o rozkrzyżowanych ramionach, jak gdyby wycięta z ruin zburzonej Warszawy. Włosy — jak dopalający się ogień. Oczy — puste, martwe spojrzenie dwóch okien.

Autor afisza, Francuz Paul Colin należy do najzdolniejszych artystów francuskich obecnego pokolenia, znany ze swej twórczości dla Resistance w czasach okupacji niemieckiej.

Wystawa mieściła się przy ul. Faubourg St. Honoré 140 — zajmując dwie nieduże sale pawilonu w głębi podwórza.

„Warszawa oskarża“ była drugą w Paryżu z kolei wystawą o podobnym typie, o podobnej idei. Pierwsza to „Les crimes hitleriennes“. Polska, tak jak i inne państwa Europy dotknięte polityką eksterminacyjną Niemiec — obrazowała tam ogromnisze zniszczenia i strat, które poniosła w ludziach i majątku narodowym. Wystawa ta w całości robiła wstrząsające

wrażenie, a na jej tle Polska przerażała wszystkich tych, którzy wystawę tę zwiedzili. Wystawę tę, trwającą kilka miesięcy, zwiedziły setki tysięcy ludzi z Paryża i z całej Francji — wynosząc wrażenie, które trudno będzie kiedykolwiek zapomnieć. Polska w walce z okupantem. Polska, która straciwszy 13,6 procent stanu ludności jest na pierwszym honorowym i tragicznym miejscu w porównaniu do Rosji — 3,6 procent, Francji 2 procent, Niemiec — 0,5 procent. Ogrom zbrodni popełnionych — to rzeczywistość pomordowanych, których śmierć w imię wszystkiego co najlepsze, u żywych dziś zostawia ginące echo.

Jaki jest cel wystaw tego rodzaju?

Czy wolno na widok publiczny wystawiać mord i czyjś ból?

Tak, Ci, którzy nie żyją, domagaliby się tego, wierząc, że ginęli w imię dobrej sprawy. Że dzięki nim to się nigdy więcej nie powtórzy. Że oni spełnili obowiązek wobec żyjących.

Walka Warszawy i jej spalenie przez Niemców — to najtragiczniejszy moment — najtragiczniejszy z wojen ludzkości.

Kilkaset tysięcy ludzi wymordowanych w Warszawie. 80 procent zburzonych i spalonych domów w Warszawie. 63 dni samotnej walki, w której ginęli starcy, dzieci i kobiety. 63 dni samotnej walki bez światła, wody i żywności — i prawie bez broni. 63 dni życia w podziemiach miasta, nie widząc światła dziennego.

„Varsovie accuse“.

Paryż .. 140 rue Faubourg St. Honore — w głębi podwórza w dwóch salach pawilonu wystawy....

„Warszawa oskarża“.

Dziś oskarżamy w równym stopniu zbrodnię jak i jej bezkarność.

Wchodzimy na wystawę. Cisza. Ludzie mówią szeptem, jak w kościele. Na ścianach w żałobnym passe-partout wiszą piękne zdjęcia Polskiej Stolicy tej, która była kiedyś — i tuż obok — tej, która jest dzisiaj. Kolumna Zygmunta na tle nieba. Pod spodem — tylko niebo. Kolumny nie ma. Wnętrze jakiegoś mieszkania, gdzie ktoś szczęśliwy żył, pracował, wychowywał dzieci. Pod spodem — to samo miejsce — gruz, mieszkania już nie ma. W oknie sylwetka samotnej kobiety, bez zdomu, bez rodziny... Zamek w ruinie. Kościoły zburzone. Figura Chrystusa podmuchem pocisku 600 mm. rzucona na jezdnię rękę wyciąga ku niebu...

Zdjęcia się ciągną jak stacje Drogi Krzyżowej.

W drugiej sali mrok. Film o Warszawie. Wybrzeże Kościuszkowskie. Syrena z mieczem w dłoni podziurawiona kulami karabinów maszynowych. Fragmenty walk o Warszawę. Pozycje niemieckie. Stanowiska ogniowe artylerii ciężkiej i najcięższej w akcji. Działa kolejowe, które przyczyniły się do zdobycia jednej z najnowocześniejszych i najpotężniejszych twierdz świata — Sebastopola — strzelają na Warszawę.

A po tym koniec — Warszawa padła, lecz do ostatka zwycięska — dziś na filmie ukazuje to, co naród na nowo wzniesie z ruiny — Warszawę Nową.

Cała druga część filmu pokazuje prace nad usuwaniem gruzów, rozbiórką. Pod film jest podłożona muzyka. Taki np. fragment: kolumna robotników rozbiera dom — melodia jest nam b. dobrze znana, ale zupełnie obca, niepolska.

Film się kończy robiąc mniejsze wrażenie, niż to, które odnieśliśmy w sali zdjęć.

Wystawa ma zwiedzić wszystkie większe miasta Europy. Wystawa jest pomyślana jako ilustracje do tego, co obcokrajowcy już wiedzą o Warszawie i Jej walce w czasie Powstania.

Wystawa może zrobić wrażenie tylko na Polaku. Obcokrajowca nie uderza silniej niż to, co już widział — nie mówi do niego więcej niż to, co już słyszał i czytał.

Porównaliśmy dwie wystawy „Les crimes hitleriennes“ i „Warszawa oskarża“ po to, by wytłumaczyć małą frekwencję na wystawie i małe zainteresowanie Paryża. Prasa francuska, która tak bardzo interesuje się tego rodzaju imprezami — nie podała prawie żadnych recenzji. Czego to dowodzi? Wystawa pomyślana na zagranicę, zagranicą zainteresowała prawie wyłącznie Polaków.

Cel więc został chybiony, ze względów propagandowych temat nie wyzyskany.

Nasuwa mi się uwaga: W czasie powstania A. K. filmowała walki i zniszczenia, sam przy tym pracowałem. Czy nie można było odnaleźć to, co inaczejby przemawiało prawdą, a nie nieudanymi rysunkami o walce i o zniszczeniu, monotowanymi ze starych niemieckich tygodników filmowych o Sebastopolu, Londynie i Stalingradzie?

Wystawa „Warszawa oskarża“ nie zrobiła tego wrażenia w Paryżu na Francuzach, jakie zrobić była powinna. To jest strata. Wystawę taką bowiem robi się tylko raz

Cz. Cz.

MÓJ POGRZEB

Mnie ta ziemia od innych droższa,
ani obca, ani umiem stąd odejść,
tutaj Wisłą, wiatrami Mazowsza
przeszumiało mi dzieciństwo i młodość.

W mojem oknie pole i topole,
i ja wiem, że to właśnie — Polska.
Stąd radość i chmura na czole,
tutaj słowa me zbroję jak wojska.

A te słowa zrozumie ziemia,
choćby miały się krwią wysączyć:
przecież nawet mury więzienia
obrastają poezją jak pnączem.

Tutaj do mnie najcichszym listkiem
ufnie mówią topole i wierzby,
moje serce tu wie o wszystkim,
chyba tutaj umrę — bo gdzieżby!

Więc gdy umrę, dobrze mnie otul,
ziemio czarna, znajoma, dobra,
szeregami żałobnych topól
niechaj idzie za mną krajobraz.

I niech w srebrnym liści popłochu
długo szumią nadwiślańskie drzewa
o tem wszystkim com czuł i kochał,
o tem wszystkim czegom nie wyśpiewał.

Władysław Broniewski

Jonathan Swift

W końcu zeszłego roku upłynęło dwieście lat od śmierci głośnego twórcy przygód Gulliwera, znanych prawie każdemu dziecku, które chodziło do szkoły. Jeżeli ktoś zna je z przeróbek dla młodocianego wieku, to Jonathana Swifta wyobraża sobie zapewne jako dobroduszenego humorystę o bujnej imaginacji. Tymczasem Swift nie pisał Gulliwera dla dzieci, a jeżeli chodzi o charakter samego autora, to Thackeray przyrównywał go do opętanego przez diabła, któremu jakiś straszny sęp szarpał serce. Swift był satyrykiem, chłostającym kłamstwo, bezprawie, łapownictwo urzędników, nieuczciwość ministrów i ucisk mas ludowych i wogóle wszystko, co mu się nie podobało, bez względu na to, czy miał rację, czy nie miał. Jego rodzina pochodziła z Yorkshire. Urodził się w roku 1667 w irlandzkim Dublinie już po śmierci ojca i potem całe jego życie nosiło jakieś piętno pogrobowe. Oddalony od matki, nie zaznał jej pieczęci i serca, co również w sposób swoisty urobiło jego duszę. Gdy miał lat sześć wuj Godwin oddał go do Kilkenny School, dystyngowanej szkoły, tego Eton Irlandii. Potem ukończył Trinity College w Dublinie, gdzie czytał dużo dzieł historycznych i poezji, co go dobrze przygotowało do przyszłej pracy literackiej. Po skończeniu przez Swifta studiów, wziął go do siebie znany ówczesny działacz polityczny, Sir William Temple, na sekretarza, a jak złośliwi mówili, i na lokaja, Swift siedział jakiś czas u niego w Moor Park, w Surrey, obserwując polityków angielskich. Później został pastorem i otrzymał prebendę w Killroot pod Belfastem, a potem dziekanem w Dublinie.

Na dziesięć lat przed śmiercią ogarnęła go obłąkańcza apatia. Przez ostatnie dwa lata powiedział tylko jedno słowo. Był wogóle zjawiskiem patologicznym. Dręczył ludzi, nawet swoich najbliższych, których najprzód przyciągał do siebie jakąś siłą hipnotyczną, a potem odtrącał. Pisywał satyry o charakterze pamfletów, przeniknięte goryczą i nienawiścią. Napisał „The Battle of the Books“, co było satyrą na krytykę współczesną. W osławionej „The Fable of Tub“ wyszydził tak samo katolicyzm i kalwinizm. Zrobił się głośny i zdobył sobie wielką sympatię wśród Irlandczyków przez swoje „Drapiers letters“ gdzie starał w obronie niezależności Irlandii. Dodał do tego satyrę „Modest proposition“. Tu w sposób demoniczny proponuje wykończenie narodu irlandzkiego przez zabijanie jego dzieci na mięso. Prawie

wesoło daje wskazówki kulinarne, jak to mięso podawać w kółku rodzinnym podczas przyjęć dla gości i tak dalej, robiąc sobie złośliwą uwagę, że lordowie zjedli większą część ojców irlandzkich, więc mają prawo i do zjadania dzieci. W Dublinie za to uczczono Swifta iluminacją.

Z całego dorobku literackiego Swifta trwałość zdobyły sobie tylko „Travels of Lemuel Gulliver“ (Podróże Temuela Gulliwera), wydrukowane anonimowo w 1726 roku. Była wówczas moda na powieści w formie podróży, a „Gargantua i Pantagruel“ Rabelais'go oraz „Utopia“ Tomasza Moora wciąż jeszcze pobudzały do naśladownictwa umysłu o bogatej fantazji. Swift wysłał w podróż swojego bohatera Gulliwera i każde rozbicie okrętu następcza mu okazję do poznania nowego bajecznego kraju. Mamy kraj maleńkich liliputów, olbrzymich brobdingnagów, daleko rozmiarami przechodzących Gargantua, mamy latającą wyspę Laputę i państwo inteligentnych koni, rządzących zwyrodniałymi i zdzieciniałymi ludźmi. Jest to satyra powieściowa na ówczesne społeczeństwo, zwłaszcza angielskie, traktowane bardzo złośliwie. Gulliver przy każdej możliwej okazji piętnuje swoich rodaków bez litości. W królestwie Brobdingnag mężowie stanu, sędziowie i urzędnicy są to łapownicy bez honoru i sumienia. Parlament składa się z kramarzy, rabusiów i kieszonkowych złodziei cały system rządzenia jest jedną jęczącą się raną. Dwie partie polityczne, niby torysi i wigowie liliputów, kłócą się o to na jakich obcasach w kraju mają ludzie chodzić, a wojna sąsiadów została wypowiedziana z powodu sporu o to, z którego końca należy nadłukiwać gotowane jajka, z cienkiego, czy grubego. Przy okazji dostało się i uczy-nym. Tak są zatopieni w zagadnieniach naukowych, że każdy musi mieć lokaja z pęcherzem na kiju, żeby go stukał w głowę, gdyby mu groziło jej rozbicie o mur, albo o drzewo.

W roku jubileuszowym wielbicieli Swifta nie żalowali mu uroczystych akademii, odczytów i nowych wydań jego dzieł. Wielbiony był przez nich ten „undaunted champion of liberty“ (niezniechęcony bojownik o wolność), co sobie kazał napisać na grobie, słowa włożone w usta Gulliwera: „Najbardziej się cieszyłem widokiem ludzi usuwających tyranów i uzurpatorów, przywracających wolność i prawo narodom uciskanym“.

Felieton bardzo dydaktyczny

Z góry zastrzegam się, że tytuł jest wierny i prawdziwy, bo felieton ten ma być bardzo dydaktyczny. To małe szczere wyznanie nie powinno odstraszyć jednak Czytelnika — niech uważnym przeczytaniem felietonu nagrodzi tę szczerość autora, rzecz tak rzadką w dzisiejszych czasach — niech się nie odstraszy pierwszym wrażeniem, że „to coś umoralniającego, więc nie warto czytać“.

„Z obowiązku dziennikarskiego“ podać muszę jak się narodził ten felieton i jakie jest jego tło. Otóż od czasu do czasu mamy posiedzenie komitetu redakcyjnego. Zgromadzamy się nad ostatnio wydanym numerem, omawiamy jego braki i niedociągnięcia, wymieniamy swoje i zasłyszane opinie, a potem zastanawiamy się co dać do następnego numeru, biorąc pod uwagę zagadnienie chwili, kalendarzyk obchodów i rocznic — no... i teczkę materiałów.

Na ostatnim takim zebraniu, bez zbytecznego umawiania się z góry, zaproponowaliśmy, by w nowym numerze „Razem“ poruszyć sprawę, jak to sobie w notatce z zebrania krótko nazwałem „niesolidności“ Polaków. Ponieważ na to zebranie spóźniłem się parę minut, bo mi metro na Villiers „nawaliło“ — (a niepunktualność trzeba też zaliczyć do niesolidności) — więc koledzy, nie bez pewnej złośliwości uchwalili, że ja muszę ten felieton napisać. No i piszę.

Temat ten morduje mnie już od paru dni. Nie lubię pisać na zawołanie, a tu termin oddania manuskryptu nieuchronnie się zbliża. Więc żeby nie narażać się na zarzut tego, z czym chcę tym skromnym mimochodem walczyć — piszę. O ile to mi się nie uda, to weźcie drodzy Czytelnicy pod uwagę, że winno temu pewne małe spóźnienie metra na Villiers — bo inaczej, gdybym się nie spóźnił owej soboty, wykręciłbym się jakoś od tego moralizatorskiego felietnu. Ale w życiu wszystko się wiąże, jak powiedział kat zawiązując stryczek pewnemu gauleiterowi.

Tego samego zdania jest mój sąsiad, u którego w życiu tak wszystko się wiąże, że potrafi mówić tylko na cztery tematy: 1) polityka (coby było, gdyby — i co mogłoby być, gdyby nie to, że jest inaczej), 2) sztuka, 3) krytyka wszystkiego co było, jest i będzie (bo sąsiad choruje na żołądek, bo żona jego nie dostaje paczki z P. C. K., bo papierosy amerykańskie idą w górę, a francuskie go duszą) i wreszcie czwarty temat: 4) wolne wnioski (t. zn. dowolne powtarzanie trzech wymienionych już tematów, zalicznie od okoliczności i tematu dyskusji — a najczęściej bez związku z nią).

Ale felieton miał być o solidności, a ja piszę o znajomym — owszem solidny on jest. Chłop z cha-

rakterem. Nigdy nie wstaje przed jędzą w po-ludnie i nigdy swych tematów nie zmienia. Czasem tylko nazajutrz zmienia front — to znaczy broni tego co wczoraj atakował, ale to przez wrodzone poczucie swojego humoru i cudzego komizmu, a nie przez jakiś opozycjonizm dla opozycji. Nie, skądże. Poza to w swojej solidności lubi tylko interesy, na których zarabia.

Och, jak ciężko mi ten felieton idzie, wciąż mi przed oczyma stoi sąsiad. Naogół jest solidny chłop. Nie nawala, chyba czasem. Jak mówi, że się spotkam o 6-tej, to wiadomo, że przed siódmą go nie zastanę (przynajmniej „wiem jak jest“) ale za to jak zproszę go na kolację na 8-mą, to żeby grzmiało i waliło się, za pięć ósma jest i puka.

Sąsiad, jak już rzekłem, lubi politykę, i zna się na niej. Wie co w trawie piszczy, bo czyta i „Sztandar“ i „Gazetę Polską“ — i cieszy się: patrz pan, ale mu zajechali, no, ale teraz on ich zrobił. Polska u niego ma być silna, wielka, niepodległa, demokratyczna i mocarstwowa. Co drugie słowo to Chrobry i Grunwald. Polska wogóle pępek świata. Bo przecież nawet Roosevelt powiedział swoje nieśmiertelne „że Polska to sumienie świata“. A wiadomo, że jak Roosevelt, albo Churchill, to „oni wiedzą, co mówią“. Albo panie, coby było, gdyby tak Jagiełło pod Grunwaldem miał jeden karabin maszynowy, jeden jedyny c. k. m. — pan to widzi? jak pragnę zdrowia cała historia inaczej by dziś wyglądała. Nie byłoby rozbiorów, wojny światowej jednej, drugiej i może trzeciej, referendum i demokracji, wszyscy by paczki z P. C. K. dostawali, a tak cóż? Papierosy 140 franków kosztują, wszystkie posady już obsadzone, margaryna już mi się odbija i pluskwy mam w hotelu, a tam w kraju ciężko.

Naprawdę aż mam wyrzuty sumienia. Tak jakoś o sąsiedzie wciąż piszę, a chciałbym o tym napisać jak by to dobrze było, gdyby Polacy chcieli wreszcie skończyć z mrzonkami o wielkości, mocarstwowości, a chcieli być tym mniejszym narodem, ale uczciwym, praworządnym i cywilizowanym. Gdyby tak trochę na Czechów się zapatrzyli — przyjmując od nich co dobre. Gdyby skończyli z Polską jako Chrystusem narodów, z cierpiętnictwem a gdyby chcieli mieć ambicje, by nie mieć już analfabetów, by jak w krajach skandynawskich można było zostawić rower na placu bez obawy, że niknie za minutę, by więzienia opustoszały, by rosły szpitale, ochronki i przychodnie i by były u nas kioski, gdzie są gazety, a nie ma sprzedawcy. By u nas demokracja zlaźła z warg dygnitarzy i tytułów artykułów, a poszła w codzienne życie i stosunki między ludźmi. By u nas zagościła

słowność i punktualność, by zniknął szaber, by wrócił szacunek człowieka do człowieka, by umysły już się nie wysilały jak tego „wykiwać“, jak tamtego „wrobić“ i jak ten przepis „obejść“.

Ale cóż? To wszystko utopia i to wszystko za wielkie do małego felietonu. Nie można za wysoko zaczynać, bo potem może być dysonans. Nie wiem czy to utopia — ale wyobraźcie sobie, że wszystko zmienia się na dobre. Że Polacy są uczciwi, zgodni, punktualni — ale tak wszyscy, co do jednego. Że wszyscy są bez zarzutu. Apostołowie. Byłoby jednak za cukierkowo i nudno. O czym mógłby mówić mój sąsiad? Nikt do nikogo nie miałby pretensji, nie byłoby protektycyjek i ambicyjek, niedocenionych i cierpiących w skromnej obłudzie wielkości, wszyscy byłiby punktualni i słowni. Brrr... to piękne. Za dobre. Nudne.

Tak, zgoda. To byłoby zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Wiemy, że do takiej doskonałości nie dojdziemy, ale to nas wcale nie uwalnia od obowiązku by dążyć trochę do polepszenia tego jednak zastraszającego stanu polskiej niesolidności. Byłoby jednak przyjemniej żyć, gdyby „nawalanie“ nie było nagminne, gdyby trochę więcej uprzejmości, szacunku i uśmiechu było pomiędzy nami. Rozejrzycie się dobrze w sobie i w gronie swych znajomych: o wiele przyjemniej i milej żyłoby się na tym chorym i zakłamanym świecie gdyby się wiedziało z góry, że Staszek jednak dotrzyma obietnicy i załatwi w obiecany czas co miał załatwić, gdyby Włodek nie miał przewrócone w głowie odpisywał na listy, gdyby Antoś nie był zbyt ważny i trochę mniej lubił plotki, gdyby Andrzej nie o wszystkich zaraz źle i bezwzględnie sądził, a był punktualny, gdyby mój znajomy dostawca masła nie oszukiwał na wadze, gdyby mój sąsiad mniej zwracał uwagi na politykę a więcej na zegarek (kocha gadać szczególnie w nocy) — jeszcze innych sto gdyby — przyjemniej, a nawet znośnie żyłoby się wszystkim, i dobrze byłoby (przynajmniej czytelnikom Razem)gdyby zaczęło ono regularnie wychodzić.

G.

P.S. do Komitetu redakcyjnego. Chcieliście felieton — to macie. Nie wiem tylko, czy nie lepiej go rzucić do kosza.

Gawędy z Czytelnikami.

Trochę o sobie

Jak ten czac leci. Aniśmy się spostrzegli, a już „Razem“ wychodzi trzeci rok. Dopiero przygotowaliśmy pierwszy numer pod okupacją, jeszcze niedawno jeździliśmy na rowerze z Lyonu do Cham-

bery, jeszcze szukaliśmy nielegalnej drukarni — a tu już po okresie wojennym i „deportowanym“ wchodzimy w nowy okres działalności. Jeszcze po przeniesieniu „Razem“ do Paryża wysyłałiśmy je ciągle bezpłatnie do ośrodków starej emigracji, do wojska, do obozów deportowanych... A teraz... niby jest pokój, wchodzimy w okres pokojowej działalności, na zasadach normalnych...

W ramach obecnej akcji Polskiej Y. M. C. A. we Francji „Razem“ ma stać się samowystarczalne, bo teraz Ciocia Imcia już nic nie „dodaje“. W normalnych czasach nie ma bezpłatnych pism, chyba służące jakiejś propagandzie, ale takie pismo wzbudza raczej podejrzenia.

O ile mamy teraz utrwalić nasz byt, czeka nas duża praca i tu oczekujemy pomocy od Czytelników, z którymi więz zawsze była żywa. Musimy zorganizować kolportaż, sieć stałych czytelników. O ile wam się pismo podoba i chcielibyście je otrzymywać to zaprenumerujcie je i jednajcie nowych prenumeratorów wokoło. Tylko w ten sposób można podnieść poziom pisma i zapewnić mu zdrowy byt i regularne ukazywanie się.

NIE WYSTARCZY „RAZEM“ CZYTAĆ — TRZEBA JE PRENUMEROWAĆ!

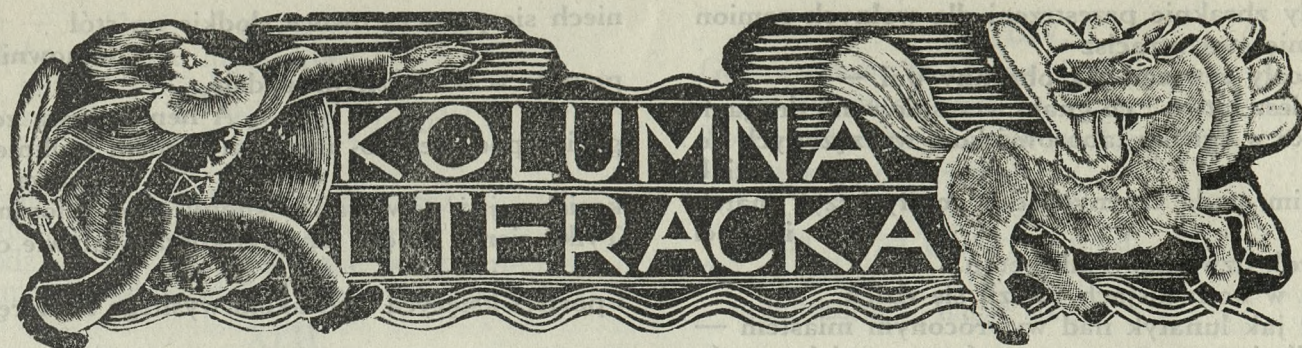
Z naszej strony obiecujemy, że dołożymy wszelkich starań, by utrzymać taką ważną placówkę jak „Razem“, by zapewnić regularne ukazywanie się, co dotychczas, mówiąc szczerze, mocno szwankowało. Trzy najbliższe miesiące poświęcamy na zmontowanie kolportażu i na ulepszenie Administracji. Zdecydują one o przyszłości i trwaniu „Razem“. A mówiąc bez komplementów dla Was, czy dla nas, szkoda byłoby chyba, żeby „Razem“ przestało wychodzić, bo jednak ma już swą kartę, ma już swe miejsce i ma grono Czytelników i Przyjaciół i — zastrzegając się przed wielkimi słowami — ma w życiu emigracyjnym dużą lukę do wypełnienia. Odczuwano bowiem zawsze brak pisma, które służąc propagandzie wiedzy, kultury i sztuki, służyłoby ideałom polskim i chrześcijańskim, które dawałoby godziwą rozrywkę i dobre słowo polskie.

Mamy zaufanie do naszych Czytelników, że zrozumieją ten nasz szczerzy sposób przedstawienia sprawy, że przemyślą sobie dobrze nasze troski. Wierzymy, że ten okres trudny, jaki przed pismem stoi, zwiąże jeszcze bliżej i Czytelników i Redakcję, w myśl dewizy: „Razem, młodzi przyjaciele!“ Przyjacielu! Uśmiechnij się!

Zacznijmy wyścig:

Kto więcej prenumeratorów zdobędzie?

B.



PIOTR WISZNIEWSKI

Fragmenty z poematu „Wojna”

1

Dość teatralnych masek i legendarnych
przedstawię !
Niech mdleje za kurtyną bezsilny mit.
Patrz: lud z miast się wysypał na stratowanych
kwiatów pył —
Dziś na teatrze stolicy przemówi karabin —
różnicę klas wyrówna rytm
dudniący ciężki w bruku w odmarszu zbrojnych
sił.
Za późno kwiatów uśmiech żołnierzom wciskać
w dłoń —
stuk butów kół i kopyt po sercach się przewala
skruszonych ostrym krzykiem: Ładuj broń!
W chmurach werbel motorów roznosi alarm.
Trzeba wyjść z gabinetów miękkich i kawiarni
zalanych brzękiem zbankrutowanych słów —
zaryć się w ziemię kulą,
przemienić się w kamień,
jeśli nie masz odwagi zejść w strzelecki rów.
I oczy skryć przed prawdą ciągnącą brzemię burz
na słowiańską swobodę chłostaną dzikim batem.
Gdy gwałt podnosi syrena jak w niebo wbity
nóż —
żołnierz musi swą męką i krwią
zglądzać grzechy świata.

2

W pozółkiej pamięci wciąż żyją jesienne pejzaże,
i gwarzą olszynki, a pola wciąż dymią,
i jęczą po lasach rozdarte żelazem
apele poległych nieznanym imion.
Wiatr trąbką mosiężną podrywa i toczy
kurzawę szwadronów z szabłami do oczu.

I moje pejzaże rozmiata pożarem
brygada zaryta pod gradem skłębionych pól.
A wilki wciąż tropią nad śnieżnym Bajkałem
ślad kroków zgłuszonych seriami kul.
Choć niebo spowite gwiazdzistym sztandarem
na ziemi wciąż słońce jesienne lśni :
zawisło na szablach skrzydlatej batalii rycerzy
i spływa po skroniach okopów potokiem krwi.
Na kaskach szeregow zmiażdżonych dział,
tanków, moździerzy —
lśni słońce niby wódz wśród śpiących żołnierzy.
Po nocach zbłąkanych śpiew głucho Bajkałem
kolebie
i w tajgach śnieżnymi skrzydłami łopocze jak
orzeł...
Nie moich-że braci żal słyszę w tym śpiewie ?
Nie o nich ballady, o dzielnym Igorze
śpiewają burłacy ciągnący z oddala...
I cóż ? czy została moc w jakichś tam żalach,
co przerwie pieśń mściwą wiszącą nad światem
i inną braterską narody połączy ?
Jam pieśń o Wolności rozpoczął granatem,
lecz granat jej nie dokończył.
Kto oczu nie oswoił w bojach z widokiem tych
mąk —
nie wypłacze przeszłości i nie wskrzesi snami.
Pośród ruin przysięga utkwiała jak dynamit —
trzeba prometejskich rąk.
Skończ elegję. Dość słów po straconym domu !
Słowa zwiędły we Wrześniu, dom w Sierpniu
opustoszał.
Tylko poezja czynu dokona przełomu.
Patrz jak z nabitą bronią ciągną pułki z koszar.

A gdy zbraknie przestrzeni dla wolnych ramion
i ziemię swą utracisz
kraj cały zewsząd jak obronny wał —
pojdziesz łatwo : co gnało wrześniowymi drogami
wojsko w zgielku taborów i koni wprzężonych do
dział.

Za nim stada czarnych dni goniły krzyk matek
i dzieci

w mrok dzwoniący jak beton.
Nocą w konwulsjach budził się dzień.
Szedł jak lunatyk nad wywróconym miastem —
i walił się ze zgrzytem, grzył mury, niebo rwał
i świecił

w twarz ministrom, urzędnikom, poetom
dławioną kłatwą wszystkich ludzkich klnień.
Tam nie znajdziesz miast ni pól, po których nie
przeszła

HISTORIA

umęczonych za Wolność braci twych.
Spizom armat, tabunom plundrów naprzestrzał
idą dumni straceńcy przez wieki ognia i krwi.

Więcej, więcej hartować słowiańską duszę,
w pożogach przekuć na twardszą niż wroga stal,
i niech śpiew karabinów i huk żelaza zagłusza
jej czułość, płacz i żal.

4

Bołgostawionaś słońcem bezbrzeżnych łąków
w porankach rozkwitających śpiewem lasów i łąk,
miłosnym szeptem strumieni, przylotem
bocianów,
w czas orki i siejby modlitwą spękanych rąk —
błogostawionaś o ziemi...

Świt wystrzela. Wiatr promienie przesiewa przez
mgłę,
miełe młynem aż bór skrzypi. Pola buszują by
step.

Ciężko koniom rozczochranym po zimowym śnie
słońce skrzeple wygrzebywać pługiem spod
darni :
parują konie i słońce i skiby ziemi jak świeży
chleb,

A tam nie liście z grusz, wróble od chat brodatych
sfrunęły, ciesząc się w deszczu złocistego ziarna,
że wędrownym śpiewakom zostawią tylko :
księżyc i kwiaty.

Lecz nie ugory żyzne wabią w kraj mój słowika,
od mórz wolnych szumiących palmami, słowik —
czy wiecie ?
niesie tu ziarno miłości jak okruszynę słońca
równika,
by swym śpiewem nocą posiać i ziemię zapłodnić
rozkwiecić :

niech się potoczą owoce słodkie na stół
domowników
poczęte w serdecznym trudzie.

A hen złotawą zorzą
gdzieś pod ciemno- modrym niebem milknie
żniwa stal,
kosiarze już powiązali w snopy swoje piosenki.
Tylko sierpy łabędz ich szyj koszą w stawie cisze
fal
i portret księżycy wiatrakom wyslizga się z ręki...

AKWARIUM

Przy tęgim rozparł się winie poeta spity jak bąk,
a w głowie wrą jak w akwariu myśli poddane
męczarniom.

Za szybą zmierzchem spoconą ulica dygoce
wkrąg,
kłębią się cienie potworne. „To pewnie jakieś
akwariu” —
westchnął i w bajorko wina myślami chlusnął
jak pstrąg.

A myśli ciężkie jak beczki chcą fruwać ponad
winiarnią !
lecz któż je uwolni z akwariu? „Wybawię
myśli od mąk —
wytruję” — i pijąc mętnie spogląda w drugie
akwariu :

w zamęcie wzdętych tułowi, nóg upletwionych
i rąk,
stwory łyskają zębami, szlifują szybę i barwią.
„Dość. Jestem wolny od myśli” — wypił i nagle
się zląkł :
myśli wciąż dyszą w akwariu, a on — oszklony
winiarnią.

I wieczór szybę zamulił, w mrok ekran
akwariu wsiąkł.
Wstał. Zgiął się jak pajak. „Cóż to ? czy jestem
także w akwariu?”

Wtem gwiazdy w szybę trzasnęły, ulica zaśmiała
się wkrąg.

Wiersze ze zbioru „Rymy”

VII.

W ciemnym zakątku salonu,
Przez mistrza zapomniana,
W uśpieniu i kurzem okryta
Ile to dźwięków na strunach jej drzemie,
Podobnie jak drzemie ptak pośród gałęzi,
Na śnieżną czekając rękę,
Która je wzruszyć potrafi !

Ach — rzekłem — jak często geniusz
Podobnie śpi na duszy dnie,
Jak Łazarz, czekając głosu,
Aby zawałał nań : Powstań i pójdź !

XX.

A jeśli czasem na ustach poczujesz
Niedostrzegalne, parzące płomienie,
Wiedz, że jak dusza słów nie potrzebuje,
By mówić, tak i całuje — spojrzeniem !

XLII.

Gdy mi to powiedziano, poczułem zimne ostrze,
Zimne stalowe ostrze poczułem we
wnętrzościach.

Oparłem się o ścianę i przez długą chwilę
Stałem tak, nieprzytomny, nie wiedząc, gdzie
jestem.

Na umysł mój zapadła czarna otchłań nocy,
w gniewie i w pokorze straciła się dusza...
I wówczas rozumiałem, dlaczego się płacze,
I wówczas rozumiałem, dlaczego się zabija !
Przedarłem się przez chmurę cierpienia... ,

zaledwie
Wypowiedzieć zdołałem kilka słów urwanych...
Kto przyniósł tę wiadomość ?... Mój wierny
przyjaciel...
Wielką oddał przysługę !... Bardzo mu dziękuję.

MAŁGORZATA HOŁYŃSKA

SÓJKI I MORZE

— Chodzi koza po desce — opowiedzieć wam je-
sce ? Chodzi koza po deszczu opowiedzieć wam jesz-
cze ? Chodzi koza po dechce — opowiedzieć wam
nie chce...

Poprzez duszne popołudnie czerwcowe przewalił
się ociążały dzwonek nieszporny z Saint-Denis.

— Opowiedzieć wam jeszcze ? — odwrócił się
Stefan do Tomasza i Bronki, rozpartych na wysza-
rzałych „Ludwikach“ — Gdybym miał papugę na-
uczyłbym ją śpiewać wszystkie rozmówki emigra-
cyjne w powyższym skrocie. Gadu, gadu... A w tym
potopie najważniejsze to to...

Uniosł się na wygniecionym łóżku olbrzymim, roz-
leniwionym ciałem i zdjął z brudnej tapety szpilką
przymocowany obrazek Matki Częstochowskiej.

— Obywatelko Bronisławo, Obywatel taki to (naz-
wisko na odwrocie) dziękuje ci za ten dar, wyjęty
z listu twego najdroższego męża. W zamiarach oby-

LIV.

Gdy wracamy w dawne chwile,
Już prześnione jak we snach,
To na czarnych rzęsach twoich
Połyskuje drżąca iza.

Potym, niby kropla rosy,

Spada — na tę gorzką myśl,
Że jak dzisiaj — wczoraj, jutro
Przypomnimy nasze dziś.

G. A. Becquer

z hiszpańskiego przełożył
Jan Winczakiewicz

Przypisy

G.-A. Becquer żył w połowie zeszłego stulecia,
a twórczość jego zamyka okres romantyzmu w li-
teraturze hiszpańskiej. Największym a zarazem
najpopularniejszym i do dziś czytany dziełem
tego poety zbiór wierszy pt. RIMAS, w większej
części zawierający wiersze erotyczne.

Część jego utworów jest rymowana, a część
pisana białym wierszem — zjawisko częste w po-
ezji hiszpańskiej. Tłumaczenia pod tym względem
— zgodne z oryginałem.

watelki leży naturalnie nawrocenie straceńca jak
ja....

— Nikt cię tu nawracać nie myśli — wtrącił skrzy-
wiony Tomasz — Najwyżej poprosimy cię, abys prze-
stał wysadzać się na wyrażonka, skoro już cała ban-
da wyszła.

— Gdyby jednak nie ja i mój obracający się ję-
zyk, miałbyś przed chwilą trzy różne stronnictwa
wśród sześciu Polaków i kto wie, czybyś ty, z chu-
derlawą piersią nie musiał rozdzielać walczących.

— Przesadasz. Spieszyli się na koncert Niedziel-
skiego, dlatego wyniesli się wcześniej. Niedzielski...

— Acha. Popieramy się zagranicą. Hustaliśmy
przez tyle lat, a oto hustawka stanęła, a my wciąż
nie zsiadamy.

— Może jesteśmy za wysoko od ziemi — szepnęła
Bronka ze swego „Ludwika“. Skuliła się przytem,
jakby się jej nagle zimno zrobiło.

— Przestaliśmy być turystami, przestaliśmy być wystraszonymi zbiegami, może wreszcie zaczniemy życie umiarkowane — Tomasz z niesmakiem rozejrzał się po pokoju — To jest nora, jaskinia, gdyby nie okno, człowiek wahałby się wejść przez drzwi.

— To też ja wolę wogóle nie wychodzić — odrzucił Stefan.

— Podziwiać należy, jak szybko potrafiłeś dostosować otoczenie do siebie. Jeszcze przed rokiem...

Przypomnieli sobie, że minął już rok i parę tygodni, gdy po pierwszych szalach liberacji drapali się na górkę willi „Suzanne“. Stefan szedł z niebanalnym uczuciem odrywania się od ziemi, stawał się coraz lżejszy i lżejszy, wreszcie, gdy otworzył jasny, nagrany słońcem pokój, nie czuł swego bokserskiego ciała. Ręce miał z celofanu, podnosząc je w pomieszanym przyplwywie zachwyty i nowej rzeźkiej energii.

— Do pracy.

Ponieważ Suzanne stała za nim tak blisko, opuścił na nią ramiona i wciąż jednak lekko przycisnął ją do siebie.

— Praca i miłość. O, Francjo, ziemio gościnna.

Czy istotnie musiało się to skończyć tak właśnie? Dzień i noc męczące w beznadziejności, ospałe, bezrobotne, łóżko brudne, rozbebeszone, bezwład ciała i duszy. Niespostrzeżenie święty nastrój zeszlóroczny przeszedł w podobną ohydę. Tomasz ma minę niezdecydowanie surową. Jak zwykle, gdy chce zacząć wymówki, wyrzuty, mądre rady.

— Wiem, co mi powiesz za chwilę, Tomasz. Na nic. Macie mnie za wariata? No, dalej, szczerze. Macie mnie za wariata? Powiadacie mi: chodź bodaj na spacer. Nie, nie pójdę. Nic mnie na tej przechadzce nie podnieci. Ani zielone drzewa, ani cudne niebo, ani mijani ludzie. W knajpie kieliszek armagnacu rozgrzeje mi na chwilę gardło i pozostanie w żołądku zdławiony nudą moich kiszek. Nic mi podniecenia nie da. Cyganie, których wymawialiście mi tak długo, stali się dla mnie kupą starych gałganów, ciałami niedomytymi, dokąd nauczyłem się ich przyspiewki na pamięć. — Nagle zaczął śpiewać wymachując dłonią w powietrzu. De Madrid a Seville il n'y en a ni un, ni deux, ni trois, ni quatre... Pedro, Pedro, Pedro..., melodia umiera, kiedy się ją przyswoi i na każde zachcenie można ją sobie samemu wyspiewać... Nie wyciągniecie mnie z domu. Z barłogu, prostujesz... Niech będzie barłóg. Określiłeś to kiedyś: nostalgia. Wcale nie, bah, tęsknota, nostalgia mają w sobie puls życia. A mój puls? — chcesz sprawdzić? — nie bije. Żeby to był smutek... Ale to inne uczucie. Drażniące. Niby stałe łechtanie gardła, kiedy odkaslnąć nie można. Piłoby się chłodną wodę, łykałoby się lód, a tu tylko chwyta się

ustami spiekotę powietrza. Jak żyć, jak pracować? Co mi pozostało z dzisiejszego dnia? Niedopałki na podłodze i zaduch, a te rozmowy, dyskusje, i tamtadaratam... to się przewietrzyło i rozwiało. Ani jedno słowo, przysięgam wam, nie przylepiło się do mnie. Ani jeden człowiek nie pozostał czymkolwiek. Zabrali się ze wszystkim, z myślami, ideami, powiedzeniami.. ja zaś, jak w wagonie restauracyjnym: otworzyłem drzwi, wpuściłem i wypuściłem gości. Tak się przedstawiają te rzekomo zebranka u mnie — według zdania konsula. Natomiast, gdy kiedyś narzuciłem płaszcz i jako ostatni z gości opuściłem własny pokój, już na szczycie schodów wyczułem cały świat bardzo przychylnie oczekujący mnie na dole. Niebo pokłute gwiazdami, księżyc przemycany dachami planatów i ciemne okna sąsiadów przyjaźnie przyzwalające: Idź, nie podpatrujemy. Poszedłem wzdłuż bulwaru, wzdłuż Garonny. Spotkałem parę psów, węszących za jutrzejszym dniem, który dla mnie nie istnieje, parę kotów na łowach intymności. Zaczepiła mnie bariera przejazdu kolejowego, a za nią gąik, świeżo-zielony, nadrzeczny, gdzie nieraz spacerowałem z Suzanne. Był ciemny i tajemniczy, choć wiedziałem, że jedyną jego tajemnicą są śmiecie wyrzucane tam przez mieszkańców, pod słupy z napisem: Nie wyrzucać odpadków. Nigdy dotąd nie zastanawiałem się nad odpadkami. Teraz przyszły mi na myśl zmiany, jakim ulegają, psując się, rzeczy tak smaczne jak kapusta, kartofle, chleb... jaki niecny przyswajają sobie zapach... w tym zagajniczku...

Tomasz nie wtrącał ani słówka w monolog dziecka. Przyjmował te smutne błazeństwa z pewnego rodzaju współczuciem. Nie znajdując w sobie żadnego odpowiednika podobnym nastrojom, nie umiał ich brać poważnie. Bronka przyzwyczajona do lirycznych wywodów Stefana gmerała obojętnie w torebce.

— Ze wszystkich ostateczności wolę tę ostatnią: śmierć powolną we własnym pokoju. Każdy mrok podnieca mnie — suchotnika, każdy świt zabija mnie — niedołęgę. Sypiam pod brzemieniem owadów, żaluzje niedomknięte mówią wam, że jeszcze za nimi tkwię. Komu na tym zależy? Czy Suzanne odgaduje, że umieram, że pewnego ranka wnieście kawę dla trupa? Czy ty któregoś południa żdziwisz się, żeś przyniósł obiad dla byłej pamięci przyjaciela?

Tomasz zdenerwował się tą paplaniną. Chciałby puścić w ruch jakiś masywny wentylator, pozbawić wnętrze tego głosu o przykrych załamaniach ochryplego basu.

— Czy przypuszczasz, że ja ci stale będę obiady przynosił? Mnie się też wreszcie czegoś „nie zechce“...

— Niezły pomysł. Nie będę jadł. Nie przynoszę żarcia. A ty, Bronka, też nie przychodzisz ze świętymi obrazkami z kraju i uśmiechem miłego pocieszenia. Prędzej zdechnę i przestanę nareszcie zajmować się sobą.

— Z tym ostatnim naprawdę mógłbyś dać spokój. Wyrzebujesz w sobie to, co masz i czego nie masz. Naokoło Francuzi nie orientują się w tym przecie... bo i jak im wytłumaczysz? Biorę cię za człowieka staczającego się w...

— I dobrze. I zgodli. Staczam się. Nie wolno mi? A co mi wolno? Oni chcą, abyśmy w ich kraju, my, cudzoziemcy szli w górę? Dlaczego więc zamykają nam drzwi już na pierwszym piętrze? Obstawili nas paragrafami. Alboś górnik, czarny robotnik na wieczny trud, albo na utrzymaniu P. C. K. i innych polskich dobroczynności — splugawiona kreatura, jak ja. U nas, w Polsce bito pokłony przed cudzoziemcem, tu chcą z nich mieć murzynów; kobiety ewentualnie szarmanckich kochanków, całujących je po rękach. Jabym im to wszystko wypowiedział: gdybym ich szwargot dostatecznie znał.

Tomasz znów się uniósł.

— Nie bądź niesprawiedliwy, Stefku. Wśród swoich zdobywasz sobie coraz podlejszą opinię. Miałeś pisać, miałeś studiować. Ułatwiono ci i jedno i drugie...

— Uduszono mnie. Jeśli mi jeszcze godzinę poświęcisz — dodał, widząc, że goście zbierają się ku wyjściu — poprobuje ci to wytłumaczyć.

— Nie poświęcę godziny. Pięć minut musi ci wystarczyć.

— Nie da rady. Dowidzenia.

— Bądź zdrow. Nabrałeś potwornej manii głądzenia.

— To mi zastępuje pisanie. Gadam teraz, gdy jestem sam.

U wejścia do zielonego ogródka Tomasz i Bronka spotkali Suzanne.

— Wciąż chory? — spytała gospodyni.

Tomasz westchnął.

— Do którego zapłacił pani komorne?

— Może jeszcze przemieszkać 20 dni, pauvre diable.

— Przyjdzie może w tym czasie jakiś kataklizm i wyrzuci z betów tego biednego diabła, a jeśli nie, przysięgam, że mu żadna filantropia złamanego franka na mieszkanie nie da. Niech sobie gospodyni sama radę z nim daje.

— Chwała Bogu nie wygląda na chuchro — zauważyła z uśmiechem Bronka, odwracając się za maszyną sylwetką Suzanne.

— Drań, albo początkujący wariat. W imię czego zajmujemy się nim, ty i ja?

— Pomyśl, że jest sam — odpowiedziała łagodnie dziewczyna. — Przejdźmy przez Jardin des Plantes, potrzebuję twojej rady.

— Kłopoty?

— Coś jakby — poszukała w czerwonej torebce błękitnej koperty z polskimi znaczkami. — Przeczytaj. Otrzymałem to jednocześnie z listem od męża. Anonim. — Nie warto czytać.

— Droga, jaką przebył nadaje mu ważności... i ta okoliczność, że przecie nie orientuje się wcale w obecnych warunkach domowych, czy krajowych.

Rozwinął arkusz kancelaryjnego papieru, zapisanego nieregularnym, skaczącym pismem maszynowym.

*) „Widzę zdziwioną twarz czytającą te słowa. Może sprawią również chwilowy ból, lecz lepsze to, niż późniejsze rozczarowanie na miejscu bez drogi odwrotu. Proszę mi wierzyć, że powoduje mną chęć tylko zwrócenia Pani z drogi błędnej, którą może Pani zupełnie bezwiednie (wybrała, kierując się dobrymi chęciami, lecz naprawdę nie warto, bo spotkać może tylko rozczarowanie, a szkoda bardzo, aby tak młode życie poszło na marne, przytem jest Pani stworzona na coś lepszego i szkoda, aby wzlot w jasną przyszłość miał być stłumiony w zarodku.

Bo co może Panią oczekiwać po powrocie: wegetacja w ciasnym pokoiku, dzieląc kuchnię wspólnie z towarzyszami terażniejszej nędzy. Na to, że mąż może cośkolwiek pomóc przy jego poborach minimalnych w wojsku, przy absolutnie żadnej perspektywie na przyszłość niech Pani nie liczy.

Naprawdę to nie jest dla Pani. Pani powinna brać życie całymi garściami, a tembardziej teraz gdy są ku temu możliwości i wyjazd w świat. Boże, gdyby ktoś był na Pani miejscu, to na pewno z zamkniętymi oczyma przyjąłby ten dar losu. O naiwności. Pani ma wiarę w lepsze jutro, proszę tylko sięgnąć myślą wstecz, do tych dni przeżytych w 1940 roku, a obecna sytuacja jest również taka, że człowiek nie jest pewny jutra, a jak się wróci, to już kłapa zamknięta. Nie można się szybko wyrzec i jest bardzo dużo ludzi, którzyby oddali wszystko, aby być na Pani miejscu. Przecież oni pisząc do Pani nie mogą wszystkiego szczerze napisać, sądzą również, że są złudzeni, że zastanie Pani wszystko po staremu. Co do uczuć męża, to mam duże wątpliwości.

Kochając żonę nie zakłada się drugiego ogniska i żyjąc oficjalnie z inną od półtora roku. To też nie jest przelotnym flirtem, ale przy jego poczuciu obowiązków małżeńskich, sądzą, że wróci do Pani, lecz to nie jest to, czego wymagamy we wspólnym pożyciu. Radzę Pani z całego serca stworzyć nowe ży-

*) Autentyczne.

„Oto dlaczego byłem dziś taki zdenerwowany. Oto dlaczego nie umiałem sobie miejsca znaleźć. Prze-czuwałem nieszczęście, przewidywałem nieszczęście.“ Wbrew obawom obojga, klucza nie było po wewnętrznej stronie i drzwi otworzyły się natychmiast. Suzanne cofnęła się aż ku barierze schodów, Tomasz wskoczył do pustego pokoju. Takie to było nieoczekiwane i niecodzienne, że Stefan wyszedł, on, zaszyty całymi miesiącami w swojej klatce, że Tomasz nieodrazu się uspokoił. Siadł pod oknem na jednym z dwu „Ludwików“ bezmyślny, śpiący, zmęczony, w oczekiwaniu powrotu przyjaciela.

Tymczasem po wiszącym mostku w Jardin des Plantes Stefan wspiął się na owalny placzyk i dysząc z osłabienia oparł się plecami o bury pień platanowy.

— Droga łąko — przemówił po chwili do kawałka zielonego trawnika pod stopami — przypomina mi pani kogoś znajomego, pewną swojską łączkę za sto-

WITOLD URBANOWSKI

Stawiam kropkę...

Bywa w życiu tak czasami,
Że postawić trzeba kropkę.
Nie nad i — wiemy to sami,
Lecz by zamknąć życia zwrotkę.

Nie postawię pytajnika,
Przecież zgóry znam odpowiedź.
Ta z drobiazgów już wynika.
Czyż potrzebna jeszcze powieść?

I przecinka nie postawię,
Dalszych ciągów wszak nie będzie.
Tak się mogło zdawać prawie
Miesiąc temu w pewnym względzie.

Średnik, myślnik — bez użyciu.
Myśli takiej nic nie zmienią.
Zresztą myśli ci do zbitki
Będzie zimą i jesienią.

Cóż, wykrzyknik, a to po co?
Życie płynie bez hałasu.
Chyba, zdziwiłby się tylko,
Że coś trwało tyle czasu!

Tyle czasu! Trzy tygodnie!
Nie uwierzysz, jak to powiem,
Choć to były, przyznam zgodnie,
Tak jak „lato“ w cudzysłowie.

dołą mego wujaszka. Bogatego miałem wujaszka w Michałowej Wólce tuż pod Częstochową. Ale sam jestem biedny, koczujący chłop. Chłop jestem, chłop. Wierzę w zabobony, jakie ta zagranica na moją chłopską duszę czarami rzuciła, wierzę w Matkę Częstochowską, że trzeba tylko tknąć świętych relikwii stamtąd, by ożyć. Wyglądasz ładnie, łączko francuska... palemki, tamaryszki, trochę luksusu, trochę egzotyki, trochę rozkładu... nawet smutno trochę, że cię zamysłam opuścić...

Dwie dziewczynki goniące za cersem podpatrywały go z boku. W zakłopotaniu pochylił się i zerwał wąty kwiatek rumianka. Chciał go ofiarować dzieciom, ale, poprzez dyskusje, rozmowy, prawdy i plotki, opadło go niezdecydowanie męczące. Zaczął obrywać wąskie płatki korony kwiatowej jeden po drugim, grubymi palcami podczęstochowskiego chłopca:

— Wróć — nie wróć — wróć — nie wróć...
Przecież na dwoje babka wróżyła....

No, dwukropek został jeszcze.
Ten znaczenie ma specjalne.
Na nic dzisiaj liczyć nie chcę,
Toby było tak banalne.

Stawiam kropkę. Tak. Wyrażną,
Aby zamknąć nią na wieki
To, co było tak niedawno
Takie bliskie — dziś dalekie.

Stawiam kropkę. Nie drzy ręka.
Punkt jest równy, choć niewielki.
Czyż małeńka ta kropelka
Zatrze ślad wspomnienia wszelki?

Słodczy, pieszczot, pocałunków,
Dźwięk do ucha słów szeptanych,
Czar pragnienia i oddania
Wpółnoc nocy nieprzespanych?

Stawiam kropkę. Tak, już stoi,
Tylko widać jest zamała,
Bo po za nią wciąż się roi
Wspomnień auerola cała.

Stawiam kropkę. Jest zamała,
Ale na to nic nie zrobię.
Gdybyś jednak tego chciała,
To w przecinek ją przerobię.

KONIEC POTĘGI

Na lśniących stalowych płytach drżały płomyki snów. Dłonie ludzkie w trybach maszyn i w cieniu szkiej śpiewały najnowszą rzeczywistość. W laboratorium płonęła namiętność i odbijała się milionem odcieni od szklanych probówek. Ostatnie doświadczenia pozwoliły uchwycić tajemnice materii i potęgować energię każdego słowa w nieskończoność. Mały człowieczek o krzywych palcach zapisywał ostatni wzór reakcji chemicznej i przewidywane w związku z tym skutki fizyczne. Mały człowieczek nieopatrzny ruchem mógłby zniweczyć piękno drogi mlecznej i z palców przechodnia uczynić ptaka. Ale mały człowieczek nie wykonywał ruchów nieopatrznych, bowiem był uosobieniem śmiałości i chorował na brak nienawiści.

Odbywało się to w tajemnicy przed ludźmi w czasie, kiedy rozfanatyzowani zakonnicy tańcząc obłąkany mistrzowski taniec wychodzili ku wsioom i miastom roznosząc przerażenie i szal. Na samym wierzchołku wielkiej, wieży stojącej samotnie wśród murów opuszczonego klasztoru. Pod sklepioną znajdowało się paru ludzi, czyniących coś w rodzaju nabożeństwa — bo byli skupieni, milczący, i wykonywali dziwaczne ruchy dotykając błyszczącej elipsowatej bryły. Byli to ci sami, których postacie kilka dni temu odbijały lustro pewnego laboratorium, nastawionego na preparowanie marzeń. Mały człowieczek o krzywych palcach otworzył drzwiczki prowadzące do wnętrza bryły i bez słowa ruchem ręki nakazał stojącemu wejść do środka opodal towarzyszowi.

Po chwili drzwi błyszczącej elipsy zostały zamknięte i przykręcone śrubami. Mały człowieczek nacisnął jeden z kontaktowych guzików i spalił się ogniem, który wybuchł z jego żrenic. Tymczasem elipsa potoczyła się na rozłożonych przed nią szynach, odbiła się od wieży i zginęła w zawierusze przestrzeni mieszającej gwiazdy. Pod kopułą na wierzchołku wieży zapanowała pustka, jedynie tylko na podłodze leżał popiół po spalonym przez własny zapach człowieka.

Błyszcząca elipsa przedarła się przez promienie świetlne i odbijała się z przestrzeni w przestrzeń. Człowiek zamknięty w pędzącej bryle przestał dostrzegać różnice między dniem a nocą. Czas wybuchł promieniami zjawisk i martwiwał w nieruchomej ciemności, aby znowu po jakimś nieokreślonym bliżej czasie rzucić w zmysły milion nieznanymi i nieprzeczytymi widziadeł. Zegar obracał wskazówkę na

swojej tarczy, przekreślając doby, tygodnie a potem miesiące.

Ludzie pędzili na ziemi codzienny żywot nie prze-czuwając niezwykłości. Odbijali swoje twarze o gwiaździste wieczory i wpływali w poranki wynurzające ciała dnia z powodzi szarych okien mieniających się jak fale. Ludzie rodzili się i umierali.

Przez lunety wmonotowane w ściany elipoidy, zmysły dziwaczego podróżnika dostrzegły bliskość innej ziemi, innej atmosfery i innej rzeczywistości... Owa ziemia była pusta i gorąca. Być może, że żyły na niej stworzenia, że wybudowane były na niej miasta, że poeci stawali przed tłumami widzów i śpiewali pieśni pełne złud, lecz oczy przyzwyczajone do zielonych słów ziemi nie dostrzegły niczego. Prawdopodobnie panował tu inny układ atomowy. Materia wy-darta z naszych wymiarów przeciekała przez materię tutejszą nie wyczuwając jej obecności. Jedynie tylko z podnóża patrzenia widać było szare dno podobne do ziemi, bez roślin i wód. Podróżny wra-stał w siebie i w swój niepokój. Wszechświat stawał się tajemniczy i nierozwiązalny. Czas mijał.

Tymczasem ziemia przez wieki śpiąca i tolerująca ludzkie ręce obudziła się ze snu i wydała z siebie ciężkie westchnienie, będące wybuchami wulkanów i drzeniem czarnej skorupy glin, piasków i pyłu. Był to początek nieszczęścia, bowiem zerwały się wichry szalone a głąb ziemi otwarł się i zaczął pochłaniać wszystko, co na niej było. Zginęły puszcze dziewicze, zginęły morza, zginęły miasta, wsie i ogrody. Powierzchnia ziemską drżała i wybuchała ogniem. Co siedem milionów lat ziemia budzi się ze snu, zmienia swoją skórę i znowu zasypia pochłaniając wszystko, czemu dała życie. Ludzkość przeży-wała przerażenie, jedynie tylko parę sekund, bo po-tem wpłynęła w śmierć i ciało swoje dała jako pokarm złaknionej ziemi. Miliony duchów zamieszkało w ciemnych chmurach skłębionych ponad rykiem żywiołów. Dokonało się to, co się dokonać miało co przepowiadano, co było końcem jednej rzeczywistości a początkiem innej, nieprzewidzianej i nieprze-powiadanej.

Ostatni, a racze jedyny syn ziemi znajdował się w błyszczącej elipsowatej bryle, pokrytej już kurzem kosmicznym i błędzącej przez wszechświat. Ponieważ aparaty pod wpływem nieprzewidzianych zjawisk przestały działać a zegar przestał wyznaczać czas, zapas pożywienia obliczony na lat kilkadziesiąt ma-lał a na twarzy która była młodą gdy wyruszył, po-

jawiły się zmarszczki, na skroniach siwe włosy i co najgroźniejsze jeszcze tylko parę butli z tlenem było pełnych. Ogarniała go bojaźń o dalszy los. Oddawała już kajęły ze sprostyczniami zjawisk kosmicznych były pokryte drobnym pismem opowiadającym o tak nieznanym i nieprzeczuwanym zjawiskach, bo opublikowanie tego stanowiło by przewrót w nauce i dałoby w ręce człowieka potęgę niezmierną i nieobliczalną. Podróżny próbował nastawić resztę czynnych przyrządów na prądy magnetyczne pochodzące ze ziemi aby go przyciągnęły ku niej i przywróciły znowu do normalnego życia za którym tęsknił i które mimo fanatyzmu uczonego w kierunku badań naukowych kochał i odczuwał jego brak coraz dotkliwiej.

Po wielu wysiłkach udało mu się wpląć w szare promienie ziemi. Gdy dziwaczna bryła oparła się na ciemne gałęzie rozłożystego lasu, przestraszone jaszczurki skryły się do swoich nor a drzewa o niewidzianych dawniej kształtach szumiały swój ciągły szum podobny do szumu z przed lat. Człowiek otworzył drzwi latającej elipsy i wyszedł na światło dzienne. Bujna zieleń wybuchała z wszystkich stron. A jednak wionęło pustką i ciszą z przestrzeni. Był to czas, kiedy uspokojona już ziemia zaczęła rodzić najpierw zieleń, drobne płazy i stworzenia wodne, lecz nie poczęła jeszcze ani ptaków ani zwierząt ani ludzi. W drzewach szumiała samotność.

Przez kilka dni człowiek przedzierał się przez gąszcz zieleni. Drogę torował sobie nożem i tęsknotą. Wieczorami zasnął, znużony trudem aby rano znowu wstać i w dalszą udać się drogę. Gdy stanął nad brzegiem morza, które jeszcze piasku nie znało, jedno twarde, szliste gązdy, zdumiewał się w sobie,

lecz nie stanął, aby podziwiać piękną dzikość żywiołu lecz szedł dręcząc się tęsknotą duszy swojej. Na ścianie górskiej niezbadanej jeszcze okiem żadnego geologa zobaczył obraz ostatniego kataklizmu i wtedy dopiero zrozumiał, że jest jedyny, że jest ostatni że jest samotny. Uklęknął przy wielkim kamieniu uchylił się przed ogromem przeznaczenia i w pokorze prosił o kobietę, aby mógł wzbudzić znowu człowieka. Lecz przeznaczenie trwało nieme w niezmiernym przestrzeni. Wyciągnął ramiona i prosząc o śmierć zaśpiewał.

Niezbadany jest los piszący księgę przemian. On to po wielkich wysiłkach i obrotach planet i komet wydobył z siebie misterium, któremu dał imię człowiek. Człowiek się biedził z własną piersią, wybudował tysiące miast i milion ksiąg zapisał w swojej pysze się mieniając panem stworzenia. Wrogiem był dla wszystkich a największym wrogiem był samego siebie... Synowie ludzcy w laboratorjach budowali przyszłość, pocałunki i śmierć. Obląkany żądzą człowiek się miotał na człowieka. Najszczytniejszym uczynkiem ludzi było mordowanie. Pomimo krwi przełanej tęskniono do szczęścia i opisywano piękno i wielkość matki człowieczej — ziemi. Ziemia pożarła swoje dzieci. Zapewne zbudzona wołaniem nienawiści ludzkiej i tęsknoty, z przerażeniem spojrzęła na płód swój i pochłonęła go we wnętrzu swojej. Romantyczni filozofowie, mistyczni twórcy religii, złotouści poeci, czarodziejscy uczeni — zaginęła wasza chwała.

Załamał się głos śpiewakowi i upadł na błyszczące perliście łązy. Opadły mu ręce, stratowane przez niezmienny szum wiatru.

ANNA MIESES

„Z”

Było to równo rok temu.

Zgłuszona hukiem dział wiosna lekko rozchylała blade zielone pęki.

Niebo krwawiło nocą jak otwarta rana — w dzień było szare i zadymione.

W powietrzu wisiało napięte oczekiwanie. Jak struna drgająca i niecierpliwa wygląda dotyku mistrza, by wybuchnąć dźwiękami, tak i ono wyglądało potężnego uderzenia, które sercem targnęłoby aż do przemożnego krzyku — i w końcu przerwało.

I przyszło uderzenie.

Nie, to nie było uderzenie, lecz pieszczota, mocna jak wino, życiodajna jak ziemia — zwycięstwo.

Przynieśli je na znużonych barkach żołnierze o obrośniętych twarzach i bohaterskich sercach.

Zwycięstwo miało szarą od kurzu sukienkę i uśmiech na ustach.

Było pełne prostoty.

Świat szalał od szczęścia.

Rozbito magazyny z alkoholem — strugami wina spłynęły ulice.

Minęły dni, tygodnie, miesiące.

Ludzie przyzwyczaili się do pokoju, tak jak poprzednio do wojny.

Taka to już jest ludzka natura.

Wino wyszło na ulicach i w gardłach. Trzeźwy ranek szaro zaświtał w oszołomionych mózgach. Walka o byt — o chleb, o dach, o trzewik — huragan powojennego życia porwał ludzkość w swój dziki, szaleńczy wir. Przyszły troski, zmartwienia, kłopoty — człapiące wiecznie i nierozłącznie za wszystkim, co porusza się i odycha.

I w tym dzikim, bezmyślnym chaosie, który nosi miano „codziennego życia“ — zapomniano o zwycięstwie. Tak jest, po prostu zapomniano. Jeśli coś, czego pragnęło się żarliwie w końcu przybywa — przestaje się o tym myśleć, zapomina się.

Taka jest już ludzka natura.

Minął rok. Znow przyszedł maj — front, działa, naloty ustąpiły miejsca niemniej zawiłym problemom chlebowym, mięsnym, odzieżowym, partyjnym — krótkie niedziele zaledwie pozwalały zaczerpnąć tchu rozpedzonym tygodniom, aż raz przy leniwym odwracaniu kartek kalendarza chlusiła w oczy czerwona rzeczywistość:

8-my maja! Memento!

Ludzie spojrzeli po sobie niepewni i zawstydzeni.

Zwolnili gorączkowe tempo. Przeszli z nogi na nogę i patrzyli na siebie bez słowa. Wszyscy wiedzieli to, czego nikt nie powiedział, że zapomnieli.

I nagle, żeby powetować wyrządzoną krzywdę, zerwali się pospiesznie, gorączkowo — ruchliwie, niecierpliwie runęli we wszystkie strony — z tą samą gorączką, z którą wczoraj sprzedawali dolary i głosowali „Oui“ lub „Non“, teraz poczęli wznosić trybuny, rusztowania, wciągać sztandary, wplatać girlandy, żeby wskrziesić to jednoroczne, a przecież stare zwycięstwo, tak stare, że aż o nim zapomnieli. Więc pracowali bez tchu byle tylko zwrócić mu promienną, oszałamiającą młodość — choćby na jeden dzień — niech będzie jeden — tant pis.

Zielenią, sztandarami rozkwita majowy Paryż.

Muzyką i śpiewem wytrysły wiosenne ulice.

Strzeliły korki z pękających butelek, zaszumiało, spieniło się w wysmukłych szklankach cuiracao.

Z blaskiem, hukiem i śmiechem wpadła ulica do bistrot, z bistrot na ulicę — zwarli się w radosnym, beztróskim tańcu, porwali za sobą bez-

brzeżny, rozkołysany tłum — tańczyło jaskrawe, ochryple Pigalle — tańczyły umalowane dziewczyny o sinych powiekach, wypomadowani alfonsi, z czerwonymi motylkami na kraciastych gorsach — tańczyli bosonodzy oberwańcy o wodnistych oczach.

Tańczyły wytworne i luksusowe Champs Elysees.

Tańczyły wiotkie panny z wielkiego świata o ustach i paznokciach koloru krwi, i te z luksusowego pół-światka o białych włosach i cyklamenowych wargach —

Tańczyło młodzieńcze, swawolne Saint-Michel — zalotne studentki z fryzurami „a la baby“ i wieczni studenci w wyświeconych spodniach, nawet wyniosła Sorbona zdawała się poruszać stacycznie i posuwicie w takt falujących flag

Tańczyły sztuczne ognie na nieruchomym niebie — rozpląsanymi kaskadami wdzierały się z granatową czerń paryskiej nocy; wiły się wężowo wokół litery V — Victoire, która dwiema mocnymi ilniami przerznęła horyzont.

A na placu Concorde — skąpany w kryształowo - mlecznej bieli, cichy i wyniosły obelisk Napoleona zdawał się przyglądać roztańconemu tłumowi. Wprawdzie rodzony w Egipcie, rozumiał chyba coś więcej niż swoje hieroglifowe obrazki — on, który oddychał wieki całe upojnym wiewem farańskich i cesarskich triumfów — poczuł napewno znajomy zapach zwycięstwa — i teraz wchłaniał go z rozkoszą, młodził, rozblyskiwał wewnętrznym, czarodziejskim światłem.

Naprzeciw obeliska przykucnęła w cieniu kwitnącego kasztana pospolita paryska ławka. Stoi spokojnie, jak gdyby nie kręciło się jej w głowie od samego patrzenia na roztańczone pary.

Siadam na niej — bo i mnie kręci się w głowie.

Opieram się wygodnie o szeroką poręcz i przymykam oczy. Nie śpiesząc się liżę lody kupione w sąsiednim wózku, słodka woda ścieka mi przez palce na jasną sukienkę — głupstwo.

Wczoraj było czarno, jutro będzie szaro — dziś jest jasno — nie myśleć, nie badać, nie szperać w siebie, wchłaniać zmieszany zapach wiosny, wina, jedliny i potu — i zapomnieć o wszystkim co było i co może być.

=====

„RAZEM“ W KAŻDYM POLSKIM DOMU!

Zamiast kołysanki

Kołysanek aksamitnych i miękkich,
co księżyc zza okna znajomy,
kładał ci snem na powieki
i wnosił dziwem dźwięków
w ciepłych, dobrych ramionach
za siódmą górę, za siódmą rzekę —
już ci nie zanucę —
nie mogę.

Bo słowa me stwardniały
i są jak serce dzwonu,
co bije w świat na trwozę...
Śpij moja mała,
może księżyc zza okna znajomy
zanuci ci....
Ja już nie mogę.

IN MEMORIA

Nie żyją...

Balicki Stefan,
Balk Henryk
Berent Waclaw
Birkenmajer Józef
Bluń Rafał
Bojko Jakub
Boyé Edward
Boy-Żeleński Tadeusz
Breiter Emil
Brzozowski-Korab Wincenty
Charewicz Łucja
Chorowiczowa Anna
Chrzanowski Ignacy
Chwistek Leon
Ks. Cieszyński Nikodem
Cywiński Stanisław
Czechowicz Józef
Czyżewski Tytus
Dąbrowski Jan
Dembiński Henryk
Dickstein-Wieleżyńska Julia
Dołęga-Mostowicz Tadeusz
Esmanowski Stefan
Fik Ignacy
Fryde Ludwik
Gałuszka Józef Aleksander
Gąsiorowski Waclaw
Gerson-Dąbrowska Maria
Godlewski Stefan
Górska Halina
Górski Stefan
Grocholska Emilia
Herz Jan Adolf
Hollender Tadeusz
Hopenstand Dawid
Hulewicz Jerzy
Husarski Karol

Irzykowski Karol
Kaden-Bandrowski Juliusz
Karpiński Światopełk
Kasprowicz Antoni
Kiedrzyński Stefan
Kisielewski Zygmunt
Kołaczkowski Stefan
Koniński Karol Ludwik
Korczak Janusz
Krahelska Halina
Kruszewska Felicja
Krzewiński Julian
Kucharczyk Antoni
(Jantek z Bugaja)
Lauterbach Alfred
Leczycki Kazimierz
Lorentowicz Jan
Łazowertówna Henryka
Łempicki Zygmunt
Miciński Bolesław
Miłaszewska Wanda
Miłaszewski Stanisław
Napierski Stefan
Niedziałkowska-Dobaczewska Wanda
Nittmann Tadeusz Michał
Noskowski Witold
Nowaczyński Adolf
Ortwin Ostap
Paczkowski Jerzy
Pawlikowska Maria
Piasecki Stanisław
Piolun-Noyszewski Stanisław
Pwiński Leon
Piwowar Lech
Pomirowski Leon
Potocki Antoni
Przerwa-Tetmajer Kazimierz

Rapacki Wincenty (syn)
Reiter Marian
Rodziewiczówna Maria
Rogowski Stanisław
Rogoż Stanisław
Rossowski Stanisław
Ruffer Józef
Sempołowska Stefania
Sieroszewski Waclaw
Skuza Wojciech
Sokolicz Antonina
Suski Augustyn
Sukiewicz Maciej
Szaniawski Jerzy
Szenwald Lucjan
Szultz Bruno
Szultz Tadeusz
Szymański Edward
Śliwiński Artur
Treter Mieczysław
Tretiak Andrzej
Troczyński Konstanty
Ulanowski Tadeusz
Weintraub Kamil
Węclewski Tadeusz
Winawer Bruno
Witkiewicz Stanisław Ignacy
Wolica Andrzej
Woźnicki Stanisław
Zachemski Antoni
Zagórska Aniela
Zahorska-Savitri Anna
Zbierzchowski Henryk
Zegadłowicz Emil
Zeromska Maria

Jak widać z powyższej, jeszcze niekompletnej listy — straty, jakie poniosła nauka i literatura polska, są ogromne. Jeżeli weźmiemy ponadto pod uwagę sześćdziesięcioletni okres zupełnego zahamowania życia umysłowego w kraju, gnębiącym przez okupantów — oraz liczne straty pośród inteligencji polskiej, walczącej i umierającej na różnych frontach

alianckich — w czasie tych lat, możliwości prędkiej regeneracji polskiego życia umysłowego i kulturalnego maleją do zatrzważającego minimum. Trzeba nam będzie długich lat spokoju, aby te straszne luki i wyrwy załatać.

„Horyzonty“

Notre Dame

Katedra w wieczór jest różowa
woda wokoło — złota, fioletowa;
z brzegu do brzegu
rękę most ci poda
i jesteś w cieniu rzeki i kościoła.

Dłonią przesuniesz po zdumionych oczach,
widząc tu wieków stopnie wydeptane
i ludzi, których modlitwa z kamienia
wciąż pnie się w niebo
choć odeszli dawno :

na sercu miasta
tu po nich została
biała i smukła
myśl bogom posłana,
garścią strzał miłości
w wieże powiązana.

Sekwana

Woda głęboka, miękka i zielona
w oczach mi płynie — w dół,
pod białe mosty.

Patrzę w nią ciągle
i słońcu zazdroścę,
gdy się w niej nurza
od lat —
w dni pogodne.

Tak zakochani śmieją się do siebie,
spokojna woda i wesołe słońce.

A drzewa wokół
wiernym stojąc dworem,
pod wiatru dłonią pochylając głowy
szepcą do siebie
tych dwojga historię — :

o rzece, która nie kochała królów
ni pięknych księżąt,
o rzece, która ciągle patrząc w niebo
wygląda słońca
strojna bielą brzegów.

A gdy przychodzi on —
kochanek złotowłosa,
na oczach naszych
igra z nim miłośnicie,
oddając siebie tak długo, aż zgaśnie
ostatni uścisk jego mocnych ramion,
a po tym jeszcze wspomnieniem się cieszy,
aż pełna ciepła i sytości zaśnie —

w mrok się owinie,
pozapala gwiazdy,
i śniąc o słońcu
do jutra popłynie...

★

★ ★

Keep smiling wszystkim ! Idę sobie
zajrzeć do różnych starych kątów,
chcę dzisiaj cały świat mój obieć,
dziurawy prześwit horyzontów.

Kłaniam się wszystkim krajobrazom
mijanym i idącym do mnie —
i roześmianą jasną twarzą
śmieję się z wielu moich wspomnień.

Bo idę nowy — noworodek
choć mam już lat dwadzieścia parę
dzisiaj na nowo jestem młody,
bo dotąd byłem jakiś stary.

Bo dziś dopiero poraz pierwszy
— choć to wygląda nielogicznie —
żyję i zamiast pisać wiersze
ja wolę sobie pograć w kiczki.

Ze słońcem, z lasem, ze zbożami
albo ze strachem, co mu szpaki
wypruły siano z głowy, dranie —
bo szpaki zawsze są cwaniaki.

Kawały na głos mówię wokół
i jak koń ryczę z starej pointy
lekki w ekstazie nowych kroków —
tak chyba było tylko świętym.

Keep smiling światu, ludziom, Bogu
za pan brat jestem dziś z wszystkimi —
idę samotny polną drogą
podrobić stary cud z Rimini.

★

Ległem na trawie, jem czereśnie
pluję pestkami gdzie popadnie —
szkoda mi tylko, że już wcześniej
nie było nigdy żyć tak ładnie.

Niebo do oczu mi zagląda
i ja się w oczy niebu patrzę —
niczego więcej nie pożądam:
krzyżyk na tamto życie znacę.

KASZUBSKIE LEGENDY I OBYCZAJE

Kaszubów możnaby we Francji pod wielu względami porównać do Bretonów. Fizycznie dość podobni jednakowo twardzi i milczący, wychowani w ciężkiej walce z morzem, jedni z Atlantykiem, drudzy z Bałtykiem — i z niezbyt urodzajną glebą, zachowują dość uparcie swe odrębności.

Kaszubi jest to stare plemię pomorskie, mieszkające u ujścia Wisły, wzdłuż wybrzeża Morza Bałtyckiego. Analogia może być jeszcze jedna: jak Niemcy w czasie okupacji podsycali tu bretońskie ruchy separystyczne, tak i tam uparcie i bez skutku wmawiali zawsze Kaszubom, że nie są Polakami.

Już Kronika Kijowska, znana pod imieniem Nestora w jednym z pierwszych rozdziałów tak prawi: „Słowianie dunajscy przyszedłszy, siedli na Wisłę i przezwali się Lechami, a od tych Lechów przezwali się Polakami, drudzy Lechowie Łutyczami, inni Mazowszanami, inni Pomorzanami“.

Długosz, średniowieczny historyk polski mówi też o Mazurach: „że Kaszubianie i Pomorzanie, chociaż różnymi się mianują nazwami, lecz mówią językiem lechickim, czyli polskim...“

Kaszuby — to skrawek wybrzeża, od ujścia Bańnicy do Wisły — z miastami Puckiem, Chojnicami i przede wszystkim Kościerzyną, stolicą Kaszubów, gdzie żył i działał dr. Aleksander Majkowski, znany przywódca ruchu kaszubskiego. Na podstawie jego prac i pism, jak też opierając się na twórczości Derdowskiego i Ceynowy, poetów kaszubskich z XIX w. opracowany jest właśnie niniejszy artykuł.

O ludzie kaszubskim wspomnimy jeszcze, że trudni się on głównie rybołówstwem, uprawą roli i handlem koni, przyczym zawody te przechodzą z ojca na syna. Przemysł ludowy, to głównie malowidła na szkle i ceramika, którą charakteryzuje zwarcie i ograniczenie ornamentu, do pewnych grup, dających się zdefiniować, jak również spokojne barwy. Jeżeli chodzi o krajobraz, jest on zbliżony częściowo może do Jura lub Wogezów, posiada tylko dużo jezior, otoczonych prastarymi lasami bukowymi. Jak w Wogezach — silne pagórki przechodzą łagodnie w rozległe doliny.

Jeszcze dziś przez wsie, ozdobione przydrożnymi świątkami — a ulubionymi patronami Kaszub są św. Roch, Jan Nepomucen, Wawrzyniec i Barbara — włączają się dziady po odpustach i śpiewają „stare“

pieśni kościelne, a w karczmie często i chętnie opiewuje też i „frantówki“ i są to starobajdy ludowe i świeckie pieśni. Bogaty gospodarz t. zw. „gbur“ chętnie przygarnie takiego dziada włączając i da mu zjeść i wypić, byle ten go rozweselił jaką starą pieśnią, lub opowiadaniem.

Poeta kaszubski Derdowski zaczyna swą pieśń o Kulczyku, co to z królem Sobieskim szedł pod Wiedeń bić Turka — pogana — następującymi słowami:

„O piękny kraju kaszubski, ziemio obiecana“.

Daje on wyraz licznym legendom i podaniom, że Jezus Chrystus nie narodził się w Betlejem, a w Bytowie, że Golgota nie była w Jeruzalem, a w Wejherowie, gdzie jest słynna Kalwaria Wejherowska. Wiele innych miejscowości utożsamiają Kaszubi z miejscowościami biblijnymi. Podania te znajdują wyraz w kolendach kaszubskich, gdzie śpiewa się: Gdybyś Jezusku na Kaszubach się rodził, to nie leżałbyś w stajence, ale dostałbyś u nas siennik i łóżko, pierzynę miękką i kołderkę i poduszkę z miękkiego puchu.

Przysłowia ludowe zawsze charakteryzują dobrze duszę danego kraju. Oto parę przysłów kaszubskich: Kto pacierz mówi leżący, tego Pan Bóg słuca śpiący.

Póki świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem.

U skąpego zawsze po obiedzie.

Trzymać kobietę za słowa, a piskorza za ogon, na jedno wychodzi.

Z żartem jak z solą, nie przesadz, bo bolą.

Jest na Kaszubach stara droga, którą co rok w maju idą pielgrzymki od Kościerzyny do Kalwarii wejherowskiej, zabierając po drodze uczestników i z powiatu kartuskiego w Skorzewie i idzie na Steżycę, stąd wzdłuż jezior raduńskich, na Borucino, Brzestowo i Strzecz. Otóż przy Brzestowie nad jeziorem wznoszą się potężne wzgórza, w których pod opieką św. Józefa i św. Barbary patronki całego Pomorza śpią wojska, czekając na chwilę, kiedy wyjdą na powierzchnię na wielką wojnę za ojczyznę i wiarę. Chwila ta ma nastąpić, kiedy pług orzący z góry, zawadzi o ukryty w ziemi dzwon, którego głos będzie dla nich sygnałem.

Powiadają też, że pewnemu bogatemu wieśniakowi, co nieuczciwie się wzbogacił na biedniejszych,

w lesie zastąpił drogę jakiś starzec, a miał nim być właśnie św. Józef, i kazał zboże, jakie gospodarz wiózł na sprzedaż, zanieść do jaskini, gdzie ten ujrzał śpiących rycerzy i konie.

Legendy i podania podsycają liczne kurhany i grodziska, jakie na piaszczystej, a miejscami kamiennej glebie ostały się pługowi. Oczywiście na kurhanach i grodziskach zwanych przez Kaszubów „zamkowiszczem“ ma być zakopanych dużo skarbów i ukazują się ogniki, wskazujące, że w tym miejscu są zakopane pieniądze, które nieczyste duchy, albo zakłęci skąpcy „przesuszają“, by nie pobutwiały. Warunkiem koniecznym przy wydobywaniu tych skarbów, a pokusić się o to może każdy śmiertelnik, jest milczenie, absolutne milczenie. Ale złe duchy i zwidy, zjawiają się akurat wtedy, są tak ponętne i filuterne, że nawet milczący i małomówni Kaszubi nie wytrzymują i chcą odpowiadać na pytania pięknych dam, rycerzy i panów — bo pod takimi postaciami im się wtedy złe objawia.

Zwyczaje kaszubskie zachowały do dziś dnia formę bardzo dawną, często niezmienną od wieków. Gdy dziecko się narodzi zawiesza mu się na szyji szkaplerz, który zostaje aż do chrztu. Wierzą bowiem Kaszubi, że w przeciwnym razie podziemne karzełki „krośnięta“ zamienią dziecko, wkładając w kołyskę swoje.

Zaślubiny, posiadające u Słowian tyle uroku pięknych zwyczajów i pieśni, u Kaszubów są bardzo oryginalne. Przy kojarzeniu stadeł małżeńskich jest zwyczaj, że starszy przyjaciel jednego z dwojga młodych, t. zw. „dobry mąż“ przedkłada sprawę rodzicom panny. Jeżeli nastąpi zgoda, panna młoda jedzie z rodzicami do rodziców przyszłego męża „na wyglądy“.

Skoro obie strony przypadną sobie do gustu, wyznacza się zaręczyny, które muszą się odbyć we czwartek. Wtedy kawaler zjawia się u swojej przyszłej, przynosząc jej dary, poczym po wymianie wzajemnych darów i w czasie uczty, dobry mąż wygłasza długą i kwiecistą przemowę, w czasie której młodzi wymieniają pierścionki. Po wymianie pierścionków matka błogosławi parę i kropi wodą święconą przy dźwiękach pieśni „Kto się w opiekę“.

Wesele urządza się na Kaszubach przed wielkim postem. Główną rolę na weselu sprawuje „starosta“. Najstarszy družba, który dyryguje wszystkim, zaczyna śpiewki, namawia do picia i zaczyna tańce. Z kościoła orszak jedzie przystrojonymi wozami, pod trzaskanie z biczów, strzelaninę z pistoletów i wesołe pokrzykiwanie do karczmy, niemniej przystrojonej. Tam się tańczy i pije. Po paru godzinach spędzonych w karczmie jedzie się do rodziców panny młodej, gdzie się bawi do rana, a nawet południa. W

czasie tej uczty widzi się jeszcze starodawne tańce kaszubskie wirowe i figurowe jak „owczarz“, „szewc“ i „gołębnik“.

Na drugi dzień, po odegraniu amatorskich komedij, nie ćwiczonych, do których temat i aktorów wyznacza się ad hoc — następują przenosiny młodej żony do domu męża. Przy przenosinach panna młoda śpiewa piosenkę, którą żegna wszystko, co było jej radością i smutkiem za czasów panięńskich i żegna się z rodzicami. U pana młodego następuje oczywiście znowu zabawa dzień i noc.

Śmierć — dla wieśniaka Kaszuba nie ma tajemnej grozy i obawy przed tym, co będzie z drugiej strony, gdyż jego światopogląd daje mu niedwuznaczną odpowiedź na wszystkie pytania. Poza nauką katechizmową wierzy on, że czasem nieboszczyk nie zostaje spokojny w grobie, ale wysysa krew wszystkim swoim krewnym, tak, że jeden członek rodziny za drugim umiera. Aby temu zapobiec, sypią garść ziemi za kołnierz nieboszczykowi.

Ostatnią noc przed pogrzebem zbierają się w chacie nieboszczyka sąsiedzi i przyjaciele „na pustą noc“, śpiewają pieśni kościelne i posilają się chlebem i wodą. Jeżeli nieboszczyk miał nieprzyjaciela, z którym nie mógł się przeprosić, przybycie tegoż na pustą noc zastępuje przebaczenie.

Kiedy gospodarz w młodym wieku zapada na jakąś chorobę i ma umrzeć, naradza się z żoną, czy w interesie gospodarstwa i dzieci leży, by wyszła ona powtórnie zamąż. Często umierający mąż naznacza żonie kandydata. Kaszubi lubią się procesować, więc kwestie majątkowe muszą być zawsze jasno i z góry rozstrzygnięte.

Ciekawym i dziwiącym nowoczesnego człowieka jest zwyczaj zwoływania „gromady“ na posiedzenia rady gminnej. W tym celu sołtys rzuca sąsiadowi do sieni „klukę“, czyli kawał dziwacznie powykręcane-go drzewa, które rzucone na podłogę przez długą chwilę obraca się, uderzając, zanim ułoży się spokojnie. Przy rzuceniu kluki krzyczy się w jakim celu ma być zebranie, gdzie i kiedy. Ten, któremu rzucono klukę bierze ją i rzuca sąsiadowi, powtarzając, co słyszał. I tak obchodzi ten rodzaj wici wszystkie chaty, aż wróci do sołtysa.

Kaszubski rok obrzędowy jest bardzo bogaty w obyczaje i tradycje. Widzimy tu te same obrzędy, co w innych dzielnicach Polski — jednakowoż są pewne różnice.

W czasie adwentu przed Bożym Narodzeniem chodzą młodzi chłopcy z szopką po domach, zato od gospodarzy dostają wiktuały lub pieniądze. Po Bożym Narodzeniu przebiegają się młodzi parobcy za kozły, niedźwiedzie i chodzą po wsi i straszą — odwiedzają chaty i tam śpiewają stare kantyczki, tak samo

jak inni, przebrani za Trzech Króli, z których jeden jest sadzą usmarowany na czarno.

W czasie Wielkanocy w poniedziałek wielkanocny obchodzi się na Kaszubach jak w całej Polsce „dyngus“. Kto pierwszy wstanie ma prawo oblać wodą innych śpiących, najchętniej chłopcy oblewają dziewczyny, nawet do obiadu. W drugi dzień świąt chodzą chłopcy z różgami wielkanocnymi od domu do domu i wypraszają pisanki i ciasta — w trzeci dzień świąt chodzą dziewczyny.

Na Zielone Świątki nosi się do kościoła zioła i kwiaty a domy przybiera się w gałęzie bukowe, albo grabowe. Tak samo bydło i zabudowania gospodarskie i wozy „mai“ się w zieleń.

Boże Ciało jest na Kaszubach bardzo uroczyste obchodzone. Ołtarze, obrazy, figury i przydrożne krzyże stroi się w zieleń. Ołtarze procesyjne na Kaszubach są robione z płótna żaglowego, w formie namiotu.

W ostatni dzień oktawy Bożego Ciała (przez cały tydzień wieczorem są procesje wokół kościoła), święci się wianki, które potem rzuca się między zboże i jarzyny: ma to obronić od gradu. Wianek musi być uwity z macierzanki i barwinku — przechowany w domu koło świętego obrazu chroni od nieszczęść, pożarów i chorób. Od pożarów chroni też figura św. Antoniego.

W wigilię św. Jana na zrównanie dnia z nocą pali się na wzgórzach „sobótki“. Pagórkowata Szwajcaria Kaszubska przedstawia wtedy piękny widok. Orszaki młodzieży śpiewającej do wtóru staropolskim dudom i piszczalce, płyną nocą na łodziach po jezio-

rze rzucając na wodę wianki z zapaloną świeczką. Na wzgórzach potem się tańczy przy dźwiękach harmonii. Z rzucami wianków na wodę dziewczęta wróżą sobie o zamążpójściu. Wioski nadmorskie rzucają wianki na fale morskie, a sobótki palą na wydmach. W nocy młodzież idzie do lasu szukać kwiatu paproci, który podobno tylko w noc świętego Jana kwitnie. Pod głową dziewczyny, kładąc się spać wsuwają sobie 10 kwiatów; o ile wyśni sobie któregoś chłopca, że z nim kwiaty zbierała — ten będzie jej mężem.

Do niespotykanych gdzieindziej należy zwyczaj sądu i ścinania kani na wioskowym placu. Jest to zapewne pozostałość z dawnych pogańskich ofiar, jak pozostałością wiosennych obchodów świąt Kupały są sobótki.

Do innych obchodów, jakie święci się na Kaszubach należą dożynki. Plon cięty i związany w snopy zwozi się do stodół przy śpiewach, tańcach i uczcie.

Na Zaduszki idzie się gromadnie na cmentarz, niosąc wieńce z wikliny i kwiaty, potem na grobach świeci się świeczki i pali chrusty. Co zabobonniejsi niosą na grób trochę jedzenia, bo ze złymi duchami zawsze lepiej być w zgodzie i w ten sposób można przebłagać nieboszczyka, z którym się kłóciło.

Po dniu pracy kładą się potem Kaszubi spać, by rano znów wstać do żmudnej pracy, by jechać na połów. lub w pole. W kominie tylko bzykają świerszcze. A nad wsiami przez chmury idzie duży księżyc i przegląda się w kaszubskich jeziorach i w stalowych falach Bałtyku...

JERZY WITKOWSKI

Z ruchu wydawniczego

Ukazał się już lipcowy numer „Horyzontów“ — miesięcznika poświęconego sprawom kultury, wydawanego we Fryburgu w Szwajcarii. Istniejące już od pół roku pismo ma za sobą poważny dorobek: jest to chyba najlepsze pismo polskie zagranicą, reprezentujące naprawdę wysoki poziom i bardzo przyjemne pod względem graficznym. Z przyjemnością można obserwować stałe podnoszenie się poziomu pisma, które przez dobór artykułów pokazuje, że żadne sprawy związane z kulturą nie są mu obce.

Redaktorem pisma jest p. Eugeniusz Lukas. Czytelnicy z terenu Francji mogą zamawiać pismo u p. F. Pajora, 47, rue de l'Université, Paris 7, lub wprost w Administracji Case postale 247, Fribourg-Suisse, załączając międzynarodowe bony pocztowe.

Lipcowy numer przynosi m. in. szkic Andrzeja Bobkowskiego o Keyserlingu, zmarłym niedawno myślicielu i wiersz Bronisława Kamińskiego — obu znanych już dobrze Czytelnikom „Razem“. Z terenu Francji pisują w Horyzontach Jerzy Jankowski, dr. Olgierd Zdrojewski, Franciszek Szczygielski i inni, jak również i Gustaw Morcinek przebywający obecnie we Włoszech.

Oprócz bogatej i ciekawej treści znaleźć można w każdym numerze Głosy Prasy polskiej z Kraju i ośrodków emigracyjnych. W lipcowym numerze czytamy również spr-

wodzenie z działalności Towarzystwa Przyjaciół Polski (Les Amis de la Pologne), którego założycielką i wieloletnią czołową działaczką jest p. Rosa Bailly, znana przyjaciółka Polaków we Francji.

Poza artykułami autorów polskich z różnych krajów, pismo drukuje i artykuły pióra cudzoziemców, związane z zagadnieniami polskimi. Horyzonty przystąpiły również do wydawania własnej biblioteki. W spisie autorów znajdujemy Sienkiewicza, Prusa, Żeromskiego, Morcinka i innych.

— Polskie Wydawnictwo Encyklopedyczne (18, Av. de Peolles, Fribourg-Suisse) wydaje nakładem Domu Wydawniczego „La Baconniere“ — Boudry (Neuchatel) w języku francuskim „Pologne 1919—1939. Cena 60 Frs. szwajcarskich. Jest to trzypięciotomowe wydawnictwo, obrazujące całokształt dorobku Polski w okresie 20-lecia w zakresie życia politycznego i społecznego, gospodarczego i kulturalnego przy współpracy ponad 100 autorów i 1900 stronach druku.

— W Szwajcarii wychodzi również „Pamiętnik Literacki“ poważny kwartalnik, wydawany staraniem Bratniej Pomocy Polskiego Ośrodka Uniwersyteckiego we Fryburgu. Komitet redakcyjny stanowią dr. Aleksander Czesław Małen, Eugeniusz Lukas, prof. dr. Konstanty Regamey i Mieczysław Sangowicz. Poważnie to czasopismo oprócz wysokiego poziomu może poszczycić się świetną szatą graficzną i papierem, jakiego nie spotyka się obecnie w żadnych wydawnictwach. Adres Redakcji i Administracji: Case postale 14, Fribourg 2, Suisse.

Ostatni numer (styczeń—marzec) przynosi m. in wspomnienia i rozważania K. Regamey'a na temat Stanisława Ignacego Witkiewicza, ciekawe o głębokiej myśli wiersze Jerzego Brzozowskiego, wiersz K. I. Gałczyńskiego. Artykuł Z. Nowakowskiego o gramatyce i języku angielskim p. t. „Jeśli władzę między wrony“, świetny szkic Janusza Rakowskiego o reformie rolnej, opowiadanie Leona Chrzanowskiego z czasów okupacji niemieckiej i fragment sztuki śląskiej Bronisława Miazgowskiego odznaczonej I nagrodą na konkursie literackim Y.M.C.A. w Genewie w kwitniu 1944 r.

Najprzyjemniejszą i najcenniejszą pozycją są niewątpliwie krytyki i recenzje zebrane pod skromnym tytułem i umieszczone na końcu pokazanego numeru w „Notatniku Bibliograficznym“.

— Les Presses Rapides (29, rue Letort, Paris 18) wydały ostatnio dla młodzieży dwie książki w języku polskim Są to „Bajki“ Ireny Lewulisowej i Bronisława Karpińskiego, z ilustracjami L. Klimka — i „Zasypana Sztolnia“ Heleny Zakrzewskiej. Obie książki nadają się na prezenty dla młodzieży.

Cena pierwszej książki 100 frs. (za zaliczeniem pocztowym 110 frs.) — drugiej 50 frs. (60). Zamówienia wprost do wydawnictwa.

WYDAWNICTWA. — Wydane ostatnio książki „Gawęda o kraju naszym“ dr. H. Jabłońskiego i „Pamiętki polskie w Paryżu“ dr. O. Zdrojewskiego w cenie 150 frs. pierwsza i 70 frs. druga są do nabycia w Polskiej Y.M.C.A., 47, rue Cardinet, Paris 17. Obie książki zainteresują szczególnie pracowników oświatowych i działaczy społecznych, dając im bogaty materiał do odczytów i pogadanek, stanowiąc także miłą i pożyteczną lekturę dla każdego.

LISTY DO REDAKCJI

B. Jan Piątek z Auboune pisze:

„Szanowna Redakcjo! Pisemko „Razem“, o którym już wiele słyszałem, nareszcie też znalazło drogę pod mój dach. Dziwiłem się, skąd Redakcji znany był mój adres.

Ciszę się, że po tylu latach niewoli można dziś na obczyźnie przeczytać pismo polskie trzymane na odpowiednim poziomie i zajmujące się różnymi tematami młodzieżowymi, które tyle kłopotu sprawiają nam nauczycielom na dalekich koloniach“

P. Marian Buczek z Antony pisze nam:

„Uprzejmie proszę mnie zawiadomić dlaczego nie otrzymuję dwutygodnika „Razem“, który zaabonowałem. Otrzymałem jedynie pierwszy numer tegoroczny. Nie wiem czy to jest zaniedbywanie obowiązku, czy ignorowanie czytelników, którzy tak łakną słowa polskiego.

Proszę o natychmiastową odpowiedź, oraz wysłanie zaległych numerów. Zamieszczamy i ten nieprzyjemny dla nas głos — przyznajemy się do winy. Było to niedopatrznie Administracji, za co przepraszamy. Zaległe numery wysyłamy. (Red.)

Aczkolwiek nie zamieszczamy rzeczy niepodpisanych, chętnie przedrukowujemy list **Anonima**, bo chodzi o prawdę i naprawienie mimowolnej krzywdy.

„Bawiąc przejazdem w Paryżu, przeczytałem tak bardzo interesujący Nr. 1—2 Waszego pięknego pisma. Natrafiłem w nim na str. 29 na recenzję „Szlakiem Muzy Polskiej“. Przeczytałem ją ze szczególnym zainteresowaniem, bo w Szwajcarii, gdzie to widowisko powstało, należałem do zespołu amatorskiego, który je wystawiał. Dziękując redakcji za życzliwą ocenę tego widowiska, które poczęło się z wielkiej miłości dla języka i literatury polskiej, uważam za swój obowiązek uzupełnić ją jednym elementarnym obra-

zem wielkiej pracy autorki widowiska p. Niny Nahlik. Moim zdaniem — nie znalazł on odpowiedniego miejsca w recenzji, zapewne dlatego, że w opracowaniu, jakie ukazała się w Londynie p. Nina z właściwą sobie nieśmiałością usunęła się na dalszy plan. Należy jednak podkreślić, że nie jacyś zbiorowi „redaktorzy“, ale ona wyłącznie była inicjatorką i redaktorką widowiska. Miesiące całe zajął jej trud szukania, w odciętej od reszty świata w czasie wojny — Szwajcarii polskich tekstów, a następnie benedyktyńska praca wykrawania z różnych utworów takich fragmentów, które — połączone — mogły dać złudzenie jakiejś akcji. Nie wystarczyły tu zwykłe teksty oryginalne i p. Nina musiała wiązać je tekstem własnym, podrobionym zawsze tak świetnie pod styl epoki, że tylko wielki znawca rozezna odrazu, gdzie się kończy Kochanowski, czy Krasicki a zaczyna Nina Nahlik. Nie można wreszcie zapomnieć o przepięknej roli Muzy, które jest dziełem wyłącznie poetyckiego natchnienia Niny Nahlik, a która to dopiero spleta ładne sceny w zwarte widowisko, gdzie bohaterem jest poprostu rozwój języka i literatury polskiej. W tych warunkach trudno mówić o kopilacji jaką mógłby rzeczywiście zrobić ten, czy ów kierownik świetlicy, mamy bowiem do czynienia w dużej mierze z dziełem indywidualnego talentu poetyckiego i tatalnego jednej osoby — Niny Nahlik. Dodajmy, że ona była autorką pięknych stylowych (choć z taniego papieru pakunkowego (dekoracji: reżyserką, a wreszcie odtwórczynią (jakżeż utalentowaną i uroczą) wszystkich prawie ról kobiecych. Ona to wreszcie wyłącznie przygotowała do druku numer „Poradnika“, zawierający widowisko „Szlakiem Muzy“. O ile więc tego w Poradniku jej skromność nie pozwoliła podkreślić odpowiednio własnej roli, uważam za obowiązek lojalny członka grupy zwrócić na to uwagę Redakcji i gorąco zarazem prosić w imię słuszności, o umieszczenie w następnym numerze „Razem“ moich uwag. Byłoby bowiem w najwyższym stopniu krzywdzące dla p. Niny Nahlik, gdyby — z winy jej własnej skromności — czytelnicy „Poradnika“ czy „Razem“ nie mieli wiedzieć, iż piękne widowisko „Szlakiem Muzy Polskiej“ jest w każdym calu za wyjątkiem jedynie ilustracji muzycznej, którą bardzo pomyślowo skomponował Roman Ryterband, jej indywidualnym dziełem.

Jeden z członków Polskiego Zespołu Artystycznego w Bernie.

Drodzy Przyjaciele,

Przy pewnej okazji spotkałem się z Waszym pismem, które wywarło na mnie silne wrażenie. Ponieważ stykając się stale z pismami o jaskrawych tendencjach politycznych, człowiek nabiera apatii do wszystkiego co tchnie polityką, tym milej jest spotkać „Razem“, które wlewa inny cel życia w umysł ludzki i wskazuje te wzniósłe cele, do których powinno się dążyć!

Pragnąłbym bardzo, jeśli możliwe, wysłać mi po jednym numerze z każdego.

Życząc Wam obfitej łaski od Boga w Waszej pracy, pozostaje w szczerej przyjaźni.

Machnio Jan (Koblentz-Horchheim)

Szanowny Panie Redaktorze!

Bardzo lubię czytać „Razem“, żałuję tylko, że czasu wolnego nie mam prawie wcale i nieraz muszę czytać „na raty“ i odkładać i znów czytać.

Mile Bakówna (Mercy les Bas)

LISTY DO ODEBRANIA

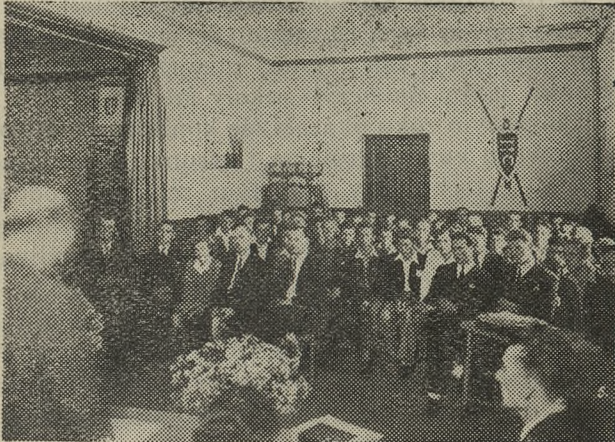
Następujące osoby mają do odebrania listy w Polskiej Y.M.C.A. we Francji (47, rue Cardinet WParis 17):

M. Świąszkowski od J. Świąszkowskiej Warszawa-Praga. Janusz Brewiński od Wandy Brewińskiej Warszawa (2 listy). Józef Lewandowski od Miss Jeannette Lewandowskiej Chelsen Mass. U.S.A.

Zakończenie roku szkolnego w Nimes

Czytelnicy nasi przypominają sobie, że Polska Y.M.C.A. prowadzi w Nimes Internat, przeznaczony dla młodzieży męskiej, uczęszczającej do Szkoły Zawodowej w Nimes (Ecole Pratique de Commerce et d'Industrie).

W Internacie tym w dniu 7 lipca b. r. odbyła się uroczystość zakończenia roku szkolnego, na którą przybył prezes



PRZEMÓWIENIE PREZESA WOYDATA

Y.M.C.A. p. Woydat Zdzisław, kol. Leszczak z Biura Głównego Y.M.C.A., liczne grono Rodziców oraz b. wychowanków Internatu, którzy opuścili Internat w latach ubiegłych.

Po nabożeństwie, odprawionym przez ks. Jareckiego, uczestnicy uroczystości zgromadzili się w Świetlicy Y.M.C.A. gdzie prezes Polskiej Y.M.C.A. przemówił do młodzieży, podkreślając pracę uczniów, włożoną w ciągu roku szkolnego w studia oraz nadzieje, jakie zarówno rodzice jak i Polska Y.M.C.A. żywi w stosunku do uczniów, którzy w tym roku opuszczają Internat, wyrażając przekonanie, że te ideały chrześcijańskie i narodowe, które wpajano w młodzież w czasie pobytu w Internacie kierować ją będą w jej samodzielnym życiu.

Prezesowi odpowiedział kolega Szlachta, jeden z byłych wychowanków Internatu, zapewniając, że młodzież opuszcza Internat z uczuciem wzięczności dla Polskiej Y.M.C.A., oraz Kierownictwa Internatu, które nie szczędziło wysiłków i starań celem zapewnienia wychowankom możliwości zawodowego kształcenia się oraz rozwijania się w duchu polskich i narodowych ideałów.

„To też hasło Y.M.C.A. „Przez charakter, wiedzę i zdrowie — służba dla Polski“ przyświecać nam będzie na naszej dalszej drodze życiowej“ zakończył kol. Szlachta swe przemówienie.

Następnie tym uczniom, którzy wyróżnili się wynikami w naukach: pilnością, pracowitością i wzorowym zachowaniem się prezes Polskiej Y.M.C.A. wręczył piękne nagrody, gratulując z osobna każdemu z nich, osiągniętych w ciągu roku.

Nagrodę pierwszą otrzymali: w kl. I. Walewski Witold, — w kl. II. Hawro Andrzej, — w kl. III. Krygier Józef, — w kl. IV. Maciejewski Marian.

Nagrodę drugą otrzymali: w kl. I. Sumera Władysław, — w kl. III. Kułakowski Andrzej, — w kl. IV. Skrzypski Józef.

Nagrodę trzecią otrzymali: w kl. III. Horczak Kazimierz, — w kl. IV. Salomon Jan.

Ponadto na wydatne postępy w naukach i dobre zachowanie się otrzymali listy pochwalne: Grotowski Jan (kl. I.) i Skrabacz Mieczysław (kl. I.).

Wieczorem w sali świetlicy odbywa się wieczornica o bogatym programie, wykonanym w całości przez wychowanków Internatu.

Na program złożyły się: produkcje chóru pod kierownictwem wychowawcy Internatu kol. Gulczyńskiego, deklamacje, tańce regionalne, w których chłopcy w roli płci pięknej udatnie kokietowali swych partnerów w tańcu, wywołując na widowni burzę śmiechu i żywiołowe oklaski, następnie inscenizacja „Rady“ z VI Księgi „Pana Tadeusza“ oraz część rewiową, skomponowaną przez samych wychowanków.

Piękne efekty świetlne, pomysłowymi i prostymi środkami uzyskał kol. Kułakowski konferansier wieczoru.

Zarówno wykonawcami programu jak i wychowawcy kol. Gulczyńskiemu złożyć należy szczere gratulacje za udany wieczór.

W przeddzień zakończenia roku szkolnego t. j. w sobotę dnia 6 lipca odbył się I Zjazd b. wychowanków Internatu, mający na celu założenie Stowarzyszenia b. Wychowanków Internatu Y.M.C.A. w Nimes.

„Lata szkolne — to lata najmiłsze, a koleżeństwo szkolne jest najtrwalsze“ powiedział prezes Y.M.C.A. w swym przemówieniu inauguracyjnym. „Pragnę, aby b. wychowankowie, złączeni pamięcią wspólnych studjów, stworzyli imkarską rodzinę, silną, przyjazną, chętną do wzajemnej pomocy, opieki i rady“ mówił dalej prezes, określając następujące cele Stowarzyszenia.

1. Utrzymanie łączności z byłymi wychowankami Internatu.

2. Utrzymanie łączności z Internatem, interesowanie się rozwojem jego pracy i opieka nad młodszymi kolegami w Internacie.

3. Samopomoc.

4. Praca społeczna w myśl idei i zasad Y.M.C.A.

Kol. Szlachta, po wybraniu go na przewodniczącego zebrania, wezwał obecnych do uczczenia minutą milczenia kolegów ś. p. Czarneckiego Henryka i ś. p. Łukomskiego Eugeniusza, którzy zginęli w walce z niemieckim okupantem, potem przystąpiono do następnych punktów porządku dziennego. W toku obrad uchwalono Statut Stowarzyszenia oraz dokonano wyboru władz w następującym składzie: prezes kol. Dudoń, skarbnik kol. Salomon. Do Komisji Rewizyjnej powołano kol.: Orwata, Paczkowskiego i Szlachtę. Stałym sekretarzem Stowarzyszenia jest wychowawca Internatu.

Nowemu Stowarzyszeniu składamy życzenia „Szczęść Boże“.

METZ. — Polska Y.M.C.A. we Francji zlikwidowała swe ognisko w oboje repatriacyjnym w Metz w związku z wyjazdem deportowanych do Kraju.

PERIGUEUX. — W związku z likwidacją obozów deportowanych i repatriantów, którzy wyjechali już do Kraju, delegatura Polskiej Y.M.C.A. w Perigueux, obsługująca Francję południowo-wschodnią, obozy i świetlice — uległa ostatnio likwidacji. Kol. Władysław Seweryn został odwołany do Centrali, gdzie pełni funkcję zastępcy inspektora ogniska.

WIZYTA NA KURSACH

W Paryżu przy ul. Leveffer mieści się siedziba Kursów Korespondencyjnych Polskiej Y.M.C.A. we Francji. Istniejące już od pięciu lat korespondencyjne kursy handlowe, zorganizowane w Hyères, a przeniesione w czasie okupacji do Aix-les-Bains i Chambéry, od dwu lat „osiedliły się“ w Paryżu, natychmiast po oswobodzeniu Francji. Promotorem tych kursów był zawsze prof. Bolesław Przegaliński, bawiący obecnie w Kraju. Powrót jego ma wkrótce nastąpić.

Z wiosną 1943 r. zorganizowano również (jeszcze w Chambéry) kursy techniczne, które do zeszłego roku, do powrotu do kraju prowadził inż. Jan Reda. Obecnie prowadzi je inż. Mieczysław Trzaskowski, którego zastajemy w jego gabinecie i od razu zasypujemy pytaniami. Odpowiedzi zainteresują napewno Czytelników „Razem“, wśród których jest wielu uczestników kursów.

— „Kursy w ciągu kilku lat istnienia zdały egzamin. Coraz bardziej wzrastająca ich popularność i wyniki mówią same za siebie. Kursy handlowe i techniczne mają w sumie od pół roku ponad tysiąc uczestników, rekrutujących się przeważnie ze starej emigracji, jak również z deportowanych i wojska, czy kompanii wartowniczych. Aczkolwiek procent tych, którzy w ciągu okresu szkolnego odpadają jest duży (szczególnie wśród górników ze względu na częste wypadki przy pracy, ze względu na powrót do Kraju, chorobę, lub niewystarczające przygotowanie) liczymy, że na wszystkich kursach będziemy mieli około 65 procent ukończeń z pomyślnym rezultatem, bo trzeba stwierdzić, że nasi „uczniowie“ (często starsi od naszych współpracowników) uczą się bardzo pilnie. Zadania i ćwiczenia nadsyłane z terenu są pisane bardzo starannie i często przekraczają 12 stron. Mimo, że się nawzajem znamy tylko z listów, wywiązuje się między nami bardzo żywa korespondencja, nie tylko zawodowa, ale otrzymujemy również zapytania i listy dotyczące najrozmaitszych spraw nie tylko zawodowych, ale i prywatnych, co świadczy o dużym zaufaniu i sympatii uczniów do instytucji.“

Inż. Trzaskowski i p. Musiatowicz opowiadają mi z uśmiechem, jak to czasem od „kursantów“ dostają kury, czy szynki „bo to wy tam w Paryżu pewnie głodujecie“ — bo to niby lepiej zawsze panu profesorowi coś posłać. Raz żołnierz z kompanii wartowniczej przysłał 12 paczek papierosów, zaznacza-

jąc, że sam nie pali, ale niech ten skromny prezent wyrazi jego podziękowania i wdzięczność za trud, jakiego kierownictwu Kursów dostarcza opracowanie i rozsyłka skryptów. Nie trzeba wspominać, że dary te Kierownictwo Kursów oddaje do szpitali.

Dalej mówią nam, że często górnicy, bez wykształcenia przysyłają tak czysto i przejrzyście wykonane rysunki, jakby ukończyli szkoły średnią.

W bieżącym roku okazała się konieczność utworzenia nowego kursu kreślenia i rysunku technicznego.

Rysunek techniczny jest tym międzynarodowym językiem techników, koniecznym do porozumiewania się wykonawcy z projektodawcą i umożliwiającym dalsze pogłębianie studiów przez ucznia.

Kursy są płatne, aczkolwiek opłaty mają raczej charakter pedagogiczny niż pokrycia kosztów. Płatność kursów powoduje poważne podejście ucznia do nauki; uczniowie, którzy nie byli w stanie płacić, zostali częściowo zwolnieni.

W stosunku do ub. roku szkolnego frekwencja wzrosła o 18 procent. Obecnie zapisanych jest na kurs budownictwa 121 uczestników, na kurs elektrotechniki 259 uczestników, na kurs kreśleń technicznych i rysunku 145 uczestników. Program na rok szkolny 1946/47 przewiduje te same kursy i kierownictwo już przyjmuje zapisy.

Uczestnicy kursów rozrzucony są po całej Francji, w wielu miejscowościach organizują się w koła i wspólnie uczą się i przerabiają nadesłane skrypty. Ponadto wysyła się skrypty do Belgii, Szwajcarii, Włoch, Anglii, zony francuskiej w Niemczech. Często zdarza się, że wyjeżdżający do Kraju proszą o dalsze wysyłanie im skryptów do Polski.

Podczas naszej wizyty przyszło wiele listów od słuchaczy. Dwaj tłumaczą, że ulegli wypadkowi w kopalni i że muszą przerwać naukę, inny wraca do Kraju i prosi o dalsze przesyłanie mu zadań. Inny wreszcie wyjeżdża do Ameryki i prosi o to samo.

Ponieważ p. Maria Trzaskowska mocno pisze na maszynie, przechodzimy do pokoi kursów handlowych. Pod nieobecność prof. Przegalińskiego rozmawiamy z p. Juliuszem Kleinem i p. inż. Kostecim.

Większość uczestników kursów handlowych (przygotowawczego i ogólnego) stanowią Polacy z Północnej Francji, rzemieślnicy i kupcy, jak również młodzież pragnąca poświęcić się handlowi. Kurs handlowy ogólny grupował 210 uczestników, przygoto-

wawczy 261. Ponadto na kurs ogólno-kształcący zapisało się 75 uczestników, a na kurs polonistyczny 55 uczestników.

Z sąsiedniego pokoju dochodzą odgłosy Gestetnera, na którym kręci się nowe wysyłki — przypomina to nam o redakcji, więc żegnamy się. Wizyty takie będziemy kursom składać co miesiąc.

M. i K.

EGZAMINY KOŃCOWE NA K.K.H.

W dniach 23 czerwca w Paryżu, 29 czerwca w Lens i 30 czerwca w Douai odbyły się egzaminy końcowe na Korespondencyjnych Kursach Handlowych i Ogólno-kształcących Polskiej Y.M.C.A. Do egzaminów ustnych stanęli uczestnicy, mieszkający w najbliższej okolicy wymienionych miast. Wyniki były bardzo zadowalające. Od rozsiąanych po reszcie Francji uczestników Kierownictwo Kursów otrzymuje obecnie pisemne wypracowanie egzaminowe; wyniki ich podamy w następnym numerze.

Oto wyniki egzaminów ustnych, jakie ze względu na większe zgrupowania uczestników zorganizowano w Paryżu, Lens i Douai:

KURS HANDLOWY PRZYGOTOWAWCZY

Beger Urszula (Bruay s/Escaut — Nord), Pecic Irena (Bortquely — Agonac — Dordogne), Zawacki Benedykt (Oissel — Seine Inf.), Mięgisz Stanisław (La Courtine — Creuse), Zeniuch Franciszek (Sceaux — Seine), Kloziński Henryk (Mazingarbe Pas de Calais), Krukowska Maria (Avion — Pas de Calais), Główna Tadeusz (Polish M. P. Paryż), Urbaniak Stanisław (Carvin — Libercourt — Pas de Calais), Bałwas Marta (Verdun — Meuse), Jurzak Alfred (La Courtine — Creuse), Ligoń Mieczysław (Lauxay — Vienne), Szczepaniak Tadeusz (Chateau sur Aisne — Aisne), Grzejdziak Ignacy (Coueron — Loire Inf.), Kasprzyk Józef (Levallois — Seine), Bańczyk Edward (Pacquencourt), Haratyk Jan (Polish Guard (Mourmelon le Grand — Marne), Kolbowicz Bolesław (Auby — Asturies — Nord), Musiał Zdzisław (Harnes — Pas de Calais), Grabowski Jan (Mericourt s. Lens), Ziolo Kazimierz (Dourges — Pas de Calais), Strózczyński Edmund (Sallaumines — Pas de Calais), Litwin Jadwiga (Barlin — Pas de Calais), Jakóbek Stefania (Auchy les Mines — Pas de Calais), Prusinowski Eugeniusz (Bruay en Artois — Pas de Calais), Dziwoki Józef (Rouvroy - Noumea — Pas de Calais), Wojteczak Czesław (Calonne Ricouart — Pas de Calais), Oramus Maria (Barlin — Pas de Calais).

KURS HANDLOWY OGÓLNY

Taront Antoni (Auby les Douai — Nord), Popiesz Kazimierz (Dechy — Nord), Mianowski Stanisław (Waziers — Nord), Malewicz Edward (Clochette par Douai — Nord), Lota Stefan (Denain — Nord), Babczyński Antoni (Homaing — Nord), Piekarski Władysław (Wattrelos — Nord), Kędziora Franciszek (Escaudain — Nord) Juskowiak Antoni (Mazingarbe — Pas de Calais), Rogoziński Roman (Marles les Mines — Pas de Calais), Olejniczak Helena (Marles les Mines — Pas de Calais), Noculak Leon (Barlin — Pas de Calais), Kokocińska Natalia (Bruay en Artois — Pas de Calais), Kwiatkowski Wawrzyniec (Bruay en Artois — Pas de Calais), Orłowska Lucy (Paryż), Smotec Janina (Argenteuil — Seine et Oise), Palichleb Jan (Sucy en Briey — Seine et Oise), Stanisławski Tadeusz (Lille — Nord).

KURS OGÓLNOKSZTAŁCĄCY

Kołciówna Janina (Blanc Mesnil — Seine et Oise), Walczak Edmund (Escaudain — Nord), Tarnowska Katarzyna (Chémy par Phalempin — Nord), Magierska Zofia (Anzin — Nord) Bańczyk Franciszek (Pecquencourt — Nord), Waszczyński Tadeusz (Sallaumines — Pas de Calais), Wach Zuzanna (Bethune — Pas de Calais), Pałasiak Aurelia (Rouvroy — Pas de Calais), Przeniczka Feliks (Lens — Pas de Calais), Przeniczka Kazimierz (Lens — Pas de Calais), Michalak Bolesław (Lens — Pas de Calais), Kubiakówna Zofia (Mericourt s. Lens — Pas de Calais), Kozioł Józef (Harnes — Pas de Calais), Hendrys Edmund (Calonne Lievin — Pas de Calais), Jakubiakówna Elżbieta (Hersin Coupigny — Pas de Calais), Mróz Józef (Lens — Pas de Calais), Sołtyga Czesław (Noeux les Mines — Pas de Calais), Dunajski Franciszek (Noyelles sous Lens — Pas de Calais).

Piąty rok nauczania na Kursach Korespondencyjnych Polskiej YMCA

Wzorem lat poprzednich Polska Y.M.C.A. we Francji organizuje Korespond. Kursy Handlowe i Ogólnokształcące, mające na celu umożliwienie szerokim zastępom wychodźstwa polskiego zdobycia wiedzy fachowej i podniesienia ich wykształcenia ogólnego.

Z uwagi na ogromne pole pracy, jakie istnieje w Polsce w dziedzinie handlu, przemysłu i administracji, oraz ze względu na brak wykwalifikowanych pracowników w tej dziedzinie, Polska YMCA zachęca do jak najszerszego wykorzystania okazji do nauki

na Korespondencyjnych Kursach Handlowych i Ogólnokształcących.

Kursy Handlowe, każdy — 900 fr.

z czego 600 fr. płatnych jest przy zapisie, 300 fr. po otrzymaniu 4 wykładu.

Kurs Ogólnokształcący — 500 fr.

z czego 300 fr. płatnych jest przy zapisie, 200 fr. po otrzymaniu 4 wykładu.

Kurs Polonistyczny — 300 fr.

KURSY TECHNICZNE POLSKIEJ YMCA

Polska Y. M. C. A. zachęcona uznaniem wszystkich instytucji i stowarzyszeń oraz tysięcy Polaków we Francji, rozpoczyna czwarty rok Korespondencyjnych Kursów Technicznych, które obejmują następujące dziedziny:

Budownictwo.

Elektrotechnika.

Kreślenia Techniczne.

Wysokość opłat za każdy kurs wynosi 900 franków płatne w sposób następujący:

600. — fr. przy nadesłaniu deklaracji

300. — fr. po otrzymaniu V lekcji.

Adres administracji Kursów:

4, rue Leverrier, Paris 6e

Y. M. C. A. — Cours Techniques par Correspondance

Zapisy na kursy: Handlowe, Budownictwa i Elektrotechniki należy nadsyłać do Y.M.C.A. Cours Commerciaux par Correspondance do dnia 1-go września 1946 r.

Zapisy na Kursy Kreśleń Technicznych należy nadsyłać do dnia 1 października 1946. Jednocześnie z wysłaniem deklaracji należy wpłaty sumy 600 fr. na konto: Paris, c. c. 1401-65 Bank Polska Kasa Opieki, z zaznaczeniem «Kursy Techniczne» Konto Nr. 161.

Żadne zgłoszenia w czasie trwania Kursów nie będą uwzględniane.

Między nami

NIE WYTRZYMALI NERWOWO!

W okresie świąt wielkanocnych, jeden z najstarszych w pracy imkarskiej na terenie Francji kolegów, kol. Andrzej Chciuk, zawarł związek małżeński z p. Barbarą Kulwiec.

Grono Jego najbliższych przyjaciół i kolegów wiadomość tę przyjęło nie tylko z uczuciem prawdziwej, szczerzej i serdecznej radości, lecz również z uczuciem jakby pewnej ulgi, że to wreszcie, że to napewno, i tym razem już nieodwołalnie.

Składając na tym miejscu Młodej Parze najlepsze i prawdziwie serdeczne życzenia szczęścia i powodzenia na nowej drodze życia, wierzymy że miłość Wasza będzie nieustannym źródłem siły w walce z trudnościami życia, wiary w istnienie Dobra i Szczęścia i w wartość ludzi, a dla Ciebie, Andrzeju, stanie się bodźcem do jeszcze wydatniejszej twórczości.

Oczywiście, nie będziesz już pewnie pisał tekstów do tanga w rodzaju „skończyło się, skończyło już... poprostu się skończyło...”

Na łamach „Razem“ nie znajdziemy już teraz smutnych pytań: „czemu nie piszesz“ i wzruszających skarg, „nigdy mnie nie zrozumiesz...”

I wierzymy wreszcie, że zgodnie z Twą obietnicą, radość i szczęście Twe znajdzie swój wyraz w Twych wierszach i na te wiersze czekamy...

Ze nieszczęścia po ludziach zawsze chodzą w parze, więc i Czesio się ożenił. Czesław Kotlarczyk, współpracownik „Razem“, pisujący pod pseudonimem Czesława Czemy i nasz nadworny fotoreporter stanął w miesiącu lipcu na ślubnym kobiercu z p. Haliną Strzyżewską.

Drugiemu Włóczędze te same życzenia i to same uśmiechnięte „Szczęść Boże!“ Grono starszyny imkowej.

~~~~~

## odpowiedzi redakcji

p. dr. J. Jakóbkiewicz (Polska) — Wykorzystamy fragmentami. — Listy otrzymaliśmy. Wysłannik nasz załatwił.

p. Józef Wiącek (St. Eloy - les - Mines) — Artykuł niestety nie pójdzie. Radzimy popracować. Łamy „Razem“ są zawsze otworem dla Czytelników. Pozdrowienia.

p. Stanisław Brudnicki (Metz) — Wiersz nie pójdzie, czekamy na lepszy.

p. Sławomir Mieczysławski (Maczków - Meppen) — Dziękujemy za wyrazy uznania. Materiałów z obozu koncentracyjnego narazie nie wykorzystamy bo już dużo (nawet za dużo — a to męczy) uwzględnialiśmy wspomnień z obozów.

p. Makulski Stanisław (Boustruff - Moselle). — Za miłe wyrazy serdecznie dziękujemy. Książki polskie można nabyć w Księgarni Polskiej (123, Bld St. Germain, Paris 6).

p. Augustyn Wojciech (Bellviller - Haut Rhin) — Cieszymy się, że „Razem“ podoba się Panu. Z materiałów narazie nie skorzystamy. Prosimy o coś lepszego i bardziej zwięzłego.

p. Hanka Benkel (Bad Woenshafen - Niemcy). — Poszukiwania przesłaliśmy do P. C. K.

p. Dębski (R.A.F. - Niemcy). — Bardzo dziękujemy za miłe słowa. Współpraca Czytelnika z pismem jest zawsze miło widziana. Książek niestety nie mamy — można je kupić w Librairie Polonaise, 123, Bld St. Germain, Paris 6.

p. Lech Konkol (Anglia). — Zamieścimy. Prosimy o więcej. Pozdrowienia.

p. Stanisław Zyderba (Polish Guard - Niemcy). — List przesłaliśmy adresatowi.

p. Marian Buczek (Antony). — List przedrukujemy, bo nie boimy się słusznej krytyki. Pozdrowienia.

p. Zofia Szklarewicz (Austria). — Przesłaliśmy adresatowi.

Redaction et Administration: **RAZEM**  
Redakcja i Administracja:

POLSKA Y. M. C. A.

47, Rue Cardinet, Paris 17. Tel. WAG. 65-39.

Redaguje komitet redakcyjny. — Redaktor

przyjmuje: wtorki i piątki od 9-12 i od 14-16.

Administracja: czwartki od 9-12 i od 14-16.

Niezamówionych rękopisów nie zwraca się.

Redakcja zastrzega sobie prawo przeróbek.

Cena numeru 40 frs. Prenumerata kwartalna 100 frs.

Nr. d'autorisation 3231

Imprimerie „Les Presses Rapides“ 29, rue Letort Paris 18